

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 13. Warszawa, dnia 18 (30) Marca 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Št.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

NASZE STOWARZYSZENIA.

I.

Szanowny czytelniku i ty łaskawa czytelniczko, oddychamy nieco swobodniej, skończywszy już przecie z tańcami, i jak przystało na dobrych chrześcijan—zajmujemy się rozpamiętywaniem niedawnych grzechów, przejęci jesteśmy skruchą i przyrzekamy poprawę... Trzeba więc korzystać z tak zbawiennego nastroju, nie na żart zająć się rachunkiem sumienia i pomyśleć o tem, żeby grzechy nasze nie powtarzały się peryodycznie, przeplatane bezskutecznemi rozpamiętywaniami, które można nazwać raczej małemi odpoczynkami w nieskończonej podróży naszej po bezdrożach... A nagrzeszyliśmy tyle, tyle tych szatańskich figlów dźwigamy na swoich wątłych barkach, że nogi nam mogą ustać w podróży i sił na nią nie starczyć. Choćby więc nieznaczna ulga bardzo jest pożądaną.

Nie sądźcie jednak, że siadam za konfesyonałem lub rozpoczynam wielko-postne kazanie. Do takiej misyi przez żadną władzą wyższą nie jestem upoważniony i nie moją jest rzeczą egzaminować was; chcę tylko, jako simplex servus Dei, pomówić z wami o grzechach gospodarczych, o gospodarczem rachunku sumienia i o ekonomicznej poprawie.

Zresztą, gospodarcze owe grzechy są w bliższym może związku z temi, które są zapisane w katechizmie, aniżeli sądzicie. I nic w tem dziwnego, wszystkie objawy ludzkiej działalności wiążą się z sobą w jedną organiczną całość, lecz jednostka jest tu wszędzie jedynym wiązadłem, jedynym czynnikiem i jedyną osią około której obracają się wszelkie sprawy zbiorowe. Jednostka wszędzie występuje jako niepodzielna całość, którą można tylko rozpatrywać z różnych punktów widzenia. Naturalista widzi w niej pewien przyrodzony organizm, moralista istotę na poły dobrą i złą, a ekonomista czynnik produkcyi. Mechanik jakiś powiedziałby, że z punktu pierwszego i drugiego przedstawia się ona jako siła w stanie „napięcia," a z ostatniego w stanie „żywym."

Kto więc grzeszy przeciwko swojej moralnej naturze, ten grzeszy również przeciw zasadom zdrowej ekonomii, ten jest wtedy nie tylko złym człowiekiem, lecz złym gospodarzem domu i złym pracownikiem po za domem. I na odwrót: zdolny pracownik na społecznej niwie, będzie dobrym gospodarzem domu i dzielnym człowiekiem. Tak więc, kochany czytelniku istnieje jedna tylko ludzka ekonomia i dla tego mówiąc o moralnych zaletach lub wadach ludzkiego osobnika, niepodobna nie wspomnieć o gospodarczym ustroju domu i społeczeństwa. Wszystko to warunkuje się i łączy w jedną całość. Cała ludzka działalność przedstawia coraz to obszerniejsze kręgi w środku których jednostka odgrywa rolę kamienia rzuconego na spokojne fale jeziora.

Jeżeli więc grzeszyliśmy niedawno nieumiarkowaniem w jadle i napoju, jeżeliśmy zaniedbywali prace i obowiązki śpiąc we dnie, a tańcując w nocy, jeżeliśmy przy tej sposobności popełnili i wiele innych przewinień, to nie tylko ksiądz i doktór powinien wziąć nas w swą dobrotliwą i światłą opiekę. Wcale poważne miejsce w tem konsylium należy się i ekonomiście i jego recepty powinny zwrócić waszą uwagę. Kto wie nawet czy przepisy ekonomicznej hygieny nie mają trwalszego i donioślejszego znaczenia od wielu innych cudownych pigułek i mikstur uniwersalnych.

Mówicie więc, że budżet wasz domowy przeciążony długami, zaciągniętemi na sute wieczory i ogoniaste suknie waszych pięknych i nieocenionych towarzyszek, że bilans wykazuje deficyt a w przyszłości zagraża bankructwo. Dyagnoza sformułowana jasno, nie ma co mówić. Idzie więc tylko o wynalezienie środków lekarskich, jeżeli szczerze zdecydowani jesteście się leczyć... Zapowiadamy tylko z góry... Żadnej mikstury, hygiena to najlepsze lekarstwo.

Hygieniczno-ekonomiczne owe przepisy są bardzo liczne, wychodzą one z ekonomii waszego ludzkiego organizmu a wkraczają na szeroką bardzo arenę zapasów i pracy społecznej... Nie o wszystkich jednak chcemy z wami obecnie pomówić. Idzie nam teraz o wskazanie jednego środka, który może nie tylko znakomicie ułatwić całą waszą kuracyę, lecz, i uczynić ją możebną... Są bowiem tego rodzaju okoliczności, że trudno się z nich człowiekowi, pomimo szczerych chęci wywikłać.

Zanim jednak wskażemy na on środek musimy się zapytać, czego nam potrzeba. Potrzeba nam bardzo niewiele. Pragniemy zdrowo zjeść i wypić, mieć jakie takie niewinne rozrywki, paru przyjaciół, parę dobrych książek, miły spokój przy domowem ognisku, spokojny sen i korzystną pracę po za domem. To niby nic, a jednak rozumne i dostatnie zaspokojenie tych wymagań, to prawie całe szczęście

Nie przychodzi to tak łatwo jakby się zdawało. Życie zdrowe, zdrowe mieszkanie, dostatnie ubranie, to rzeczy bardzo drogie, nie mówiąc już o książkach i wielu innych rozrywkach. Czy na to wszystko starczą nasze zasoby, czy nadto będziemy mogli odłożyć coś na czarną godzinę, która zawsze może spotkać pracującego człowieka. A chciałoby się zabezpieczyć jakiś kapitalik na przyszłość w jakiem towarzystwie ubezpieczeń, a skąd tu wziąć na raty. W tem właśnie sęk. Korzystna zaś praca po za domem, nie zawsze będzie już bogactwem. Można mieć zresztą i pracę, jakiś nawet własny zakład, lecz i tu spotykamy przeszkody. Brak zbytu, drogość surowego materyału, konkurencya, wszystko to są rzeczy które stają na przeszkodzie w urzeczywistnieniu naszych skromnych wymagań.

Przedewszystkiem powiadam oszczędność, a raczej usunięcie wszelkich zbytkownych i niepotrzebnych wydatków a rozumne zaspokojenie koniecznych. I to jednak nie zawsze pomoże; gdy środki są niezbyt wystarczające a trudno o większe.

Nie opuszczajmy jednak rąk i wtedy. Są i na to sposoby. Jednostka jest słabą, to prawda, ale jest coś, co jest potęgą i stać się może wielkim człowiekiem. Tem coś jest, gromada, kochany czytelniku. Gromada też ta rządzi dziś wszechwładnie naszem życiem i jego losami. Nagromadzona praca w postaci zasobów i skupiona w rękach szczęśliwców, to dziś główna twórcza potęga, bez której ani kroku nie zrobisz odosobniony czytelniku. Dla tego też ci co posiadają ową „nagromadzoną pracę“ są potężni i możni, dla tego oni nadają ton całemu społecznemu życiu, a ty, chudopachołku zależysz od ich pańskiej łaski.

Jest jednak sposób na wszystko i położenie chudopachołka może nie być bez wyjścia, potrzeba tylko zaaplikować w życiu panującą zasadę. Gromada—wielki człowiek. Dobrze, łączmy się więc w gromadę. Każdy z nas wzięty pojedyńczo jest słabym; połączmy jednak nasze dłonie, oparłszy naszą działalność na „wzajemnej pomocy. Staniemy się równie potężnemi jak ci, co mają „nagromadzoną pracę.“ Z czegóż bowiem składają się kapitały: z okruszyn wiedzy i drobnych groszaków. Złóżmy więc i my swe drobne zasoby, niech każdy do wspólnej skarbony złoży wdowi swój grosz i szczyptę swej wiedzy i dobrej woli, a będziemy mieli kapitały. Nie będzie może każdy z nas miał jeszcze wspaniałych pałaców, licznych pojazdów, wino nie będzie się lało potokami przy naszych stołach, a żony nasze nie będą jedwabnemi ogonami zamiatać uliczny kurz i błoto. Nie będziemy mieli zbytków, będziemy jednak mieli coś, co więcej może warte od zbytku, będziemy mieli pracowite życie, spokojne sumienie i umysł swobodny. I to przecież coś znaczy. A nawet wspólnemi siłami zdobędziemy się i na teatry i na pałace i zabawy, muzea, biblioteki. Wszystko to nie będzie należało do jednego z nas, będzie wspólne, ale zawsze będzie.

Przypatrzmy się teraz zbliska naszym potrzebom, a zobaczymy w jaki to sposób, przy wzajemnej pomocy, łatwiej je zaspokoić.

Przedewszystkiem obchodzą nas artykuły tak zwane spożywcze, a więc chleb, mąka, kasza, mięso, cukier etc... a wreszcie odzież i obuwie. Dzisiaj nabywamy wszystkie te rzeczy albo w składach większych lub, co gorzej, u drobnych przekupniów. Otóż kupiec każdy jest pośrednikiem pomiędzy producentem i konsumentem i jako taki pobiera odpowiednie wynagrodzenie od jednego i od drugiego. Że wynagrodzenie to nie jest małem, łatwo bardzo się przekonać, obejrzyjmy choćby tylko nasze sklepowe wystawy i same sklepy. Dla panów kupców żywimy głęboki szacunek i uważamy ich za ludzi pożytecznych w wielu razach, sympatya jednak nasza dla owego stanu nie sięga tak daleko, żebyśmy składali jej na ofiarę najbliższe nasze potrzeby. Nie możemy zresztą pozwalać sobie na takie zbytki, bo nie mamy na to. Gdy więc w danym razie będziemy mogli się obejść bez ich pośrednictwa i przejąć na siebie ich zyski, to zrobimy to z gotowością. A zrobić to nie trudno, dosyć zawiązać się w *stowarzyszenie spożywcze*. Wtedy my sami będziemy panami kupcami i panami konsumentami. Jeżeli zaś takie zbiorowe posiadanie nie zadwalnia was, jeżeli sami we własnej osobie chcielibyście zająć miejsce kupca, to nie mam z wami nic do czynienia. Pokazuje się, że kilku lub kilkunasto rublowa oszczędność i kilku rublowe dydywidendy nic dla was nie znaczą. W takim razie stowarzyszenie nie dla was.

Kogo jednak interesują te drobne papierki, ten nie odrzuci stowarzyszenia. Przy jego pomocy zrobi on małe oszczędności, a te małe sumki mogą się stać bardzo dużemi. Mogą sobie rosnąć w jakiej *klasie oszczędności*, mogą posłużyć za raty do *towarzystwa ubezpieczeń*, w którem te wspólnie połączone jednostki, chcą usunąć działanie przypadku i strat niespodziewanych, przez rozłożenie ciężaru przykrego dla jednej osoby na drobne cząsteczki, prawie nic nie znaczące, gdy każdy je weźmie na siebie.

Idąc tą drogą oszczędności i drobnych kapitalików pozakładamy *biblioteki*, *kasyna*, nawet własne fabryki, młyny, jatki etc. i życie nasze ułoży się w daleko wygodniejsze formy.

Wzajemna ta pomoc, jest rzeczą nader zbawienną dla każdego niezamożnego człowieka, lub nawet średnio tylko zamożnego, gdyż pozwala mu ona zaspakajać należycie i rozszerzać swe potrzeby.

Są jednak ludzie dla których jest ona nieodzowną. Takiemi ludźmi są pracownicy żyjący z zarobku i drobni rękodzielnicy.

Mówiliśmy bowiem, że kapitał jest obecnie panującym czynnikiem w życiu ekonomicznym. Że zaś nad całem życiem panuje nieubłagane prawo walki o byt, przeto kapitały większe zwyciężają mniejsze i przemysł, który dawniej stopniowo przenosił się od prostego drwala posiadającego tylko siekierkę, do bogatego przemysłowca, coraz to wyraźniej rozdziela klasy pracujące na dwa działy — na wielkich przedsiębierców i robotników. To co stało niegdyś w porządku, rzemieślnicy ustępują powoli fabrykom. Cóż więc pozostaje zarówno rzemieślnikom, jak i robotnikom. Nie pozostaje im nic innego jak potęga wzajemnej pomocy, stowarzyszenia. Rzemieślnikom pozwoli ona wytrzymać konkurencyę z fabrykami, a robotnikom ułatwi środki utrzymania pomoże zarazem do utworzenia własnych zbiorowych fabryk.

Drobni więc rzemieślnicy posługują się w tym celu *stowarzyszeniami magazynowemi* mającemi na celu *zakup hurtowny surowych materyałów*. Obok zaś nich zakładają stowarzyszenia kredytowe poo nazwą *wkładowo-zaliczkowych*, które im pozwalają rozporządzać koniecznym dziś kredytem. Robotnicy zaś obok instytucyj kredytowych, wiążą się w *stowarzyszenia produkcyjne*, to jest zbiorowe fabryki i przedsiębierstwa.

Gdy więc w taki sposób na wzajemnej pomocy oprzemy całą naszę działalność, jednostka przestanie być odosobnioną i bezsilną, a stanie się cząstką silnej zbiorowej całości. Jest to zresztą nieunikniony duch czasu i po tej drodze wszyscy muszą postępować.

Na drogę tę weszli już od pół wieku przynajmniej nasi sąsiedzi z Zachodu; my jednak stawiamy dopiero niemowlęce kroki i jak zwykle idziemy na szarym końcu...

Niech sąd ten jednak nie będzie uważany za bezwarunkowe nas potępienie. Jest to niejako prawem naturalnem, że cały nowoczesny rozwój zaczyna się od zachodu. Z Anglii przechodzi do Francyi, stamtąd dostaje się do Niemiec i stąd go dopiero otrzymujemy. Takim to cywilizacyjnym szlakiem szły wielkie pomysły na polu oderwanej nauki, zacząwszy od wieku XVII, taką drogą szła rozwijająca się nauka społeczna i takąż samą drogą idzie rozwój samego społecznego życia, przyjmując w swoim pochodzie różne odcienia odpowiednio do warunków miejscowych, nie zmieniając jednak w niczem swej myśli naczelnej.

Nasze końcowe stanowisko, obok złej ma jednak i dobrą stronę. Złą dla tego, że w porównaniu z zachodniemi sąsiadami jesteśmy słabi i bezsilni; dobrą dla tego, że za nami leży szeroka przestrzeń zdobytych wyników i doświadczenia — i że prawdy życiowe przyjąć możemy w formie więcej już wyrobionej.

Dotychczas przejęliśmy i przyjęli z owego cywilizacyjnego obiegu naukę i sztukę; ta ostatnia nawet w dziedzinie poezyi, zakończając ruch romantyczny na Zachodzie, zajaśniała u nas dziwnym blaskiem i pełnością. Muzyka, malarstwo i sztuka dramatyczna w pełnym dopiero rozkwicie. Teraz nadchodzi kolej na naukę społeczną i społeczne życie.

Mamy więc dwie strony medalu, dobrą i złą, idzie tylko oto żeby pamiętać o przysłowiu, „zanim słońce zejdzie, rosa oczy wyjé.“ Maruderami być nie radzilibyśmy. Straty zaś nagradzać korzyściami i dbać o to żeby ostatnie przeważały, oto racyonalne prawidło.

Bądź co bądź, porównywając potęgę stowarzyszeń za granicą z naszem życiem biednem bez jutra, przekonywamy się dopiero jak jesteśmy ciemni i bezsilni, i jak mało znamy sztukę zbiorowego życia, a przecież takiem tylko ono być może.

Zanim jednak postaramy się zaznaczyć pierwsze u nas kroki na tem polu, podamy kilka faktów wyświetlających położenie tej sprawy na Zachodzie, a co ważniejsza, same jej zawiązki w zarysach ogólnych; później zaś, gdy będziemy szczegółowo rozbierali nasze sto-

warzyszenia i spółki, posługiwać się również będziemy metodą porównawczą. d. n.

WE DWOJE.

Deszcz padający od samego rana zmęczył się nareszcie i mżył drobniutkiemi kroplami, podobny do mgły wieczornej unoszącej się po nad łąkami. Tylko co skończyliśmy obiad; dziecinkę która usnęła nie doczekawszy końca — odniesiono do kolebki. Ja zaś z Ludwiką stanęliśmy we dwoje nucąc przy otwartem oknie i patrzeliśmy na przelatujące obłoki.

— A żebyśmy też wyszli z arki, ojcze Noe... rzekła do mnie żona.

— Dobrze mój aniołku, tylko że jeszcze tęczy nie widać.'

— A to tem bardziej, wyjdźmyż na przeciwko niej.

Odbiegła na chwilkę i powróciła zakapturzona, w wysokich bucikach, z włożonemi nawet rękawiczkami. Ujęła mnie pod rękę, ale mocno, prawdziwie opierając się i przytulając do mnie, jak w tych szczęśliwych dniach, kiedy po długim niewidzeniu, znowu się spotykamy.

— Ach! jak to dobrze żeśmy wyszli! co za cudowne powietrze, chciałabym iść... iść... możebyśmy gdzie daleko poszli? jeszcze zupełnie widno.

To mówiąc ciągnęła mnie ze śmiechem, stawiając wielkie kroki, dla zrównania się ze mną. Przeszliśmy około płotu, i skręciwszy na lewo, biegliśmy do lasu. Nasz kochany las, do któregośmy się tak przywiązali!

W tej chwili było zupełnie w nim cicho, ale za to pełno wilgoci. Mech napojony wodą, uginał się pod nogami jak ściśnięta gąbka; na każdym listku kołysała się kroplista perełka, już, już mająca upaść.

— Zmokniemy okropnie, moja droga, rzekłem zatrzymując się z Ludwiką.

— Ba! alboż to nie mam wielkich butów, chodźmy dalej. I weszliśmy w głąb' lasu, z którego kapała woda, jak z brody jakiego bożka morskiego.

Byłem bardzo wdzięczny żonie za jej energią, bo w moich oczach nic nie ma piękniejszego nad wilgotny las, a jeszcze o tej godzinie kiedy już wszystko spokoi się i milknie, kiedy po długim deszczu, ptaki nawet, zabierają się do snu i starają się osuszyć piórka zroszone. Lubiłem to zawsze, bo przyznacie że jest jakiś dziwny urok, kiedy idzie się tak we dwoje, mocno trzymając się pod rękę. Czujemy się wtedy zupełnie sami i biegniemy pod zielonem sklepieniem gałęzi, oddychając zapachem wilgotnej roślinności. Niekiedy uderzałem laską w pień dębu, na co pień odpowiadał mi dźwięcznym i przeciągłym odgłosem powtórzonym przez inne dęby, to znów stawaliśmy nagle przestraszeni trzaskiem złamanej pod nogą gałązki, lub przysłuchując się szmerowi kropelek wody spływającej z listka na listek. Pełnemi piersiami każde z nas chwytało oczyszczone przez deszcz powietrze, słuchając oczami że tak powiem nieujętej harmonii delikatnych i słabych tonów. Nie dla przyjemności tylko zestawiania wyrazów, użyłem tej metafory namacalnie prawdziwej. W piękny dzień letni kiedy słońce już zniża się nad poziom, wszystko rumieni się i oblewa purpurą, jak twarz pięknej dziewczyny czytającej blisko wielkiego ogniska. Tony ożywiają się i zagrzewają, cała natura drży jakby wzruszona, czuć że przez cały dzień wiele kochała, wiele pracowała i używała wiele rozkoszy. Las bucha falami ciepła; na listkach widać dyamenty, rubiny i szmaragdy. Na omszałych od wieków pniach, jaśnieją chwilami połyski do złudzenia naśladujące złoto. To cała orkiestra tonów, to bogata harmonia, olśniewająca jak katedra kiedy w niej trąby grzmią pod sklepieniem, a cały lud śpiewa: Alleluja!

W dzień pochmurny, zupełnie co innego ma miejsce: bez wesołości, bez hałaśliwych wybuchów, dobra natura usypia cichutko z wilgotnemi oczami, jak gdyby poziewając znudzona. Skrzypce mające grać jej do snu tego wieczora, nakładają surdynki i powolną śpiewają melodyę, w której smyczki jakby płacząc zaledwie niekiedy uderzają o struny; trzeba nadstawiać dobrze uszów ażeby ująć tę piosenkę podobną do marzeń; ale za to głos ich tak jest przyjemny, harmonia tak delikatna, że znawca lubiący muzykę oczów, miałby wielką trudność gdyby mu kazano wybierać pomiędzy conbrio trąb i flażeoletem skrzypców, pomiędzy lasem ukrywającym się po za szarawą zasłoną, albo błyszczącym w całym blasku złotych promieni.

Sunęliśmy pod brzozami, nagle wietrzyk górą przeleciał pieszcząc wierzchołki drzew, które zaczęły coś szeptać pomiędzy sobą i swe gałązki, jak zmoczone ptasze strzepuje skrzydełka, rzuciły na nas potop pięknych płynących dyamentów.

— Ah! mój Boże, zawołała Ludwika zatrzymując się nagle, szkaradny ten wiatr przemoczył mnie do suchej nitki.

Suknia kołysana wiatrem podniosła się troszeczkę i zobaczyłem jej dwa maleńkie buciki przytulone do siebie, do połowy zakryte trawą.

— Ah! jak zmokłam, ale to jak! kapturek zsunął się trochę i za kołnierz mi wpadła cała rzeka wody!..

— Gdzie moja droga?

— Gdzie? mówię ci że za kołnierz, w środek, właśnie tam.

Spojrzeliśmy na siebie, i zaczęliśmy śmiać się wesoło. To właśnie „tam" był to punkcik w który zawsze ją całowałem; można być młodym ale zawsze są pewne przyzwyczajenia do których z taką łatwością naginamy się. Obtarłem jej szyję, poprawiłem kapturek, i kiedy już czuła że wszystko na niej suche, rzekła mi z uśmiechem:

— Jaki z ciebie milutki chłopczyna.

Zdaje mi się że ją ucałowałem za to. Była w tak wybornym humorze, że zaczęliśmy skakać przez paproć, przyczem żona wspierała się mocniej na mojem ramieniu; potem kiedy weszliśmy pod wielkie i stare drzewa, zaczęła śpiewać na nutę Marsylianki:

Pójdź ty szkaradny mężu,
Co wcale nie kochasz żony;
Nic a nic, nic, nic, nic
Nic, nic, nic.

Z takim jednak wdziękiem a zarazem z tak zawadyacką minką manerowała wielkiemi krokami, błyszcząc białemi ząbkami i ściskając mnie za rękę, że zacząłem wraz z nią śpiewać. Bawiliśmy się jak dzieci i wiedzieliśmy o tem, ale że dobrze nam z tem było, więc byliśmy na chwilę dziećmi.

Nagle zatrzymaliśmy się przed jakąś rozpadliną. Wyschnięta kałuża, czy kopalnia zarzucona... nie wiem, w miejscowości tej jednak grunt był przewrócony, drzewa poprzewracane i ogromne korzenie sterczały wśród krzaków...

— Czy nie boisz się żebyśmy zbłądzili, zapytała Ludwika.

— Ale gdzie tam, moja maleńka.

— A gdybyśmy zbłądzili, coby jutro powiedziało maleństwo, które teraz śpi w białej kołyseczce? Chcesz, to wrócimy; powiedz, może lepiej wrócić?

— Wszak jesteśmy najwyżej o jakie dwadzieścia minut drogi od domu.

— Tak! tak! wszyscy podróżni zabłąkani w lesie, zawsze myślą że są o jakie dwadzieścia minut drogi od domu: a do tego pomiędzy temi korzeniami, musi być okropna masa dzikich zwierząt.

Zadrżała z trwogi i nachylając się jakby słuchając z uwagą dodała:

— Cicho! cicho! czy słyszysz, jakieś głuche uderzenia rozlegają się... Cicho!..... co to może być?! o tej godzinie w lesie, nie... wiesz co... Słońce już zachodzi... Możebyśmy wrócili do domu?

Rzeczywiście słyszałem doskonale ten głuchy odgłos, którego przyczyna była bardzo łatwą do odgadnięcia. Mogłem był i jej powiedzieć; ale tak mnie bawiła gdy z całą powagą, z nadstawionemi uszami, na wpół otwartemi usteczkami, zapatrzona w moje oczy i przytulona do mej piersi chowała się prawie we mnie drżąc cała, że z całym egoizmem odpowiedziałem bez wahania:

— Tak w samej rzeczy to dziwne! słyszę te głuche uderzenia... nie musi to być daleko stąd... chodźmy zobaczyć co to jest.

— Jakto! ty chcesz tam iść, mój drogi Jerzy tyś chyba szalony! objęła mnie obiema rękami i spinając się aż do ucha, rzekła cichutko:

— Ja się bardzo boję, wróćmy już, mój jedyny, proszę cię, wróćmy już...

— Jaki to z ciebie tchórz! czy nie poznałaś że to tracze tak siekierami rąbią w porębie.

— Cóż ty myślisz że ja się przestanę bać dla tego że to tracze, a co oni tak rąbią?

— Przerzynają wielkie dębowe bale, na klepki do beczek; oto i cała tajemnica.

— Ale czy ty się nie mylisz?

— Nie, moja droga.

— Czy to są uczciwi ludzie, ci tracze?

— I bardzo nawet—ja ich znam wszystkich, przecież to nasz las. Chodź, za parę minut tam będziemy.

Nareszcie zdecydowała się podejść bliżej to nie bez oporu. Weszliśmy w zakątek lasu tak malowniczego, że trudno coś piękniejszego wymarzyć.

Przedstawcie sobie kilka szałasów z drzewa, przypominających chatki jakie Cooper w swoich powieściach rozrzuca po nad brzegami Ontario. Każda z nich wyglądała raczej na stos nieociosanego drzewa, po nad którym unosił się biały komin wyrzucający kłęby dymu. Na około obozowiska całe góry desek żółtawo-różowych, pnie drzew zrąbanych i piramida z wiórów, wyżej zaś w górze po nad wszystkiem na, rozciągniętych pomiędzy drzewami sznurach suszyła się bielizna. Na około szałasów, ziemia zupełnie była zdeptana, przed drzwiami zaś kilkanaście kur chciwie zjadało ziarnka rzucone przez jakąś staruszkę.

— Dobry wieczór, rzekła poczciwa kobiecina, widząc że się zbliżamy, może państwo wejdą się ogrzać troszkę; z wieczora teraz chłodno.

Ludwika patrzyła na to wszystko, jak na dekoracyę teatralną. Weszliśmy. Wnętrze odpowiadało zupełnie powierzchowności.

W pośrodku niekształtnego szałasu w którym pełno było kątów i zakątów, pomiędzy czterema sztabkami żelaza utrzymującemi głównie w porządku, unosił się prześliczny ogień. Płomień wzlatał wysoko. Dach był przedziurawiony jak rzymskie impluvium, przez otwór zaś komina, jednocześnie i za okno służącego, widać było szare niebo i gałęzie drzew; w popiele stał garnek w którym coś się gotowało, po kątach zaś szałasu zapchanego narzędziami wszelkiego rodzaju, kilku ludzi zawzięcie łupało klepki. Jeden z nich starzec, z twarzą czerwoną jak cegła, był ojcem familii, dwaj inni to syn i zięć staruszka. Mieszkali razem i przez cały boży rok, w tym namiocie służącym za pracownię, łupali dębinę na klepki.

Raz na tydzień syn udawał się do wioski, dla zakupienia żywności; w niedzielę młodsi grywali w piłkę, starsi zaś spali pod drzewami. Kiedyśmy weszli robotnicy wstrzymali się, poczem każdy z nich skłoniwszy się nam położył na boku błyszczący topór, którym pracował. Narzędzia te wyglądające jak tasak od gilotyny, na krótkim trzonku umieszczony, ostrza miały szerokie, cały pozór przerażający. Ludwika przysunęła się do mnie bliżej na ławeczce, którą zajęliśmy wchodząc.

— Czy nie przeszkadzamy wam w robocie? zapytałem staruszka.

— Eh nie, proszę pana, właśnie mieliśmy jeść kolacyę.

Dwaj młodsi, opuścili rękawy od koszuli, i wysunęli na środek szałasu stół mający fizyonomią zupełnie pierwotną.

Następnie rozstawili talerzyki, małe, głębokie, z niebieskiego fajansu; stara zaś przyniosła wielką patelnię i rzuciła na ogień kupę wiórów.

W otoczeniu grubem, nieokrzesanem, Ludwika w długich rękawiczkach muszkieterskich, w malutkich, zmoczonych bucikach i w podpiętej sukni, wyglądała nad wyraz delikatnie i wytwornie. Rękami zasłoniła się od blasku ognia a boczkiem spoglądała na masło zaczynające skwierczyć na patelni.

Nagle zerwała się, z rąk staruszki wzięła trzonek od patelni i rzekła:

— Niech mi pani pozwoli usmażyć jajecznicę.

Poczciwa mateczka oddała jej patelnię i Ludwika od razu rozwinęła działalność jaką zwykle okazuje rybak w chwili, kiedy przy jego wędce spławik drgać zaczyna.

Oblana światłem ognia, stała z wyciągniętemi rękami, zagryzając cokolwiek usta dla skupienia w sobie siły, zaś oczy wlepiła w smażące się masło.

— To troszeczkę za ciężkie dla małych rączek pani, odezwał się starzec. Przysiągłbym że pierwszy raz w życiu pani smaży jajecznicę w szałasie trackim.

Ludwika potwierdziła kiwnięciem głowy nie odwracając jednak oczu.

— Jajka! jajka! krzyknęła nagle, z wyrazem takiej trwogi że parsknęliśmy wszyscy śmiechem. Jajka! prędzej bo masło się spali!.. Śpieszcie się albo za nic nie ręczę.

Staruszka szybko rozbijała jajka.

— A szczypiorek! krzyczał stary.

— A słonina i sól, wołali młodzi.

Wszyscy wzięli się do roboty; krajali, siekali, a Ludwika tupiąc nożkami, wołała ciągle:

— Prędzej, prędzej!

Nareszcie na patelce dał się słyszeć szum i wielkie dzieło rozpoczęło się. Staliśmy wszyscy na około, patrząc niespokojnie na potrawę do której każdy przyłożył rękę.

Matka klęcząc blisko ognia podnosiła nożem róg jajecznicy zaczynający przybierać złoty kolor.

— Teraz niech pani będzie łaskawa przewrócić.

— I uderzyć w spód patelki, dodał starzec.

— Tylko nie za mocno, zauważył syn jego.

— Od razu! hop! mój aniołku, powiedziałem i ja z kolei.

— Jeżeli będziecie wszyscy mówić...

— Niech się pani śpieszy...

— Jeżeli będziecie wszyscy od razu mówić, to stracę odwagę. To takie ciężkie aż strach!

— Śmiało.

— Kiedy nie mogę! jeszcze przewrócę. Ah! mój Boże!

W zapale, kapturek usunął się z jej głowy. Była różowa jak wisienka, oczy jej błyszczały, i choć żaliła się na los swój okropny, jednak ciągle śmiała się do rozpuku.

Nareszcie ostatnie wysilenie, patelnia przechyliła się i jajecznica spadła, troszkę za ciężko, na półmisek który staruszka trzymała. Jak żyję nie widziałem tak apetycznej jajecznicy.

— Musiała pani dobrze sobie ręce zmęczyć, rzekł stary tracz krając ogromny kawał i kładąc go sobie na chleb.

— Ale gdzież tam nie bardzo, odpowiedziała moja żona śmiejąc się z całego serca; tylko mam teraz ochotę skosztować mojej... to jest naszej jajecznicy.

Zasiedliśmy wszyscy na około stołu i przed każdym postawiono czysty talerz. Na dnie mojego był wymalowany trójkolorowy kogut. Skosztowawszy odrobinę jajecznicy, wstaliśmy ażeby wrócić do domu. Słońce już zaszło, a cała rodzina traczów wyszła przed szałas, chcąc nas pożegnać i zobaczyć jak będziemy odchodzili.

— Jeżeli państwo pozwolą, to syn odprowadzi! wołała z daleka jeszcze staruszka.

Ściemniło się już i wilgoć spadała pod drzewami, zaczęliśmy iść coraz prędzej.

— Jacy to szczęśliwi ludzie, rzekła nareszcie Ludwika; przyjdziemy kiedy do nich na śniadanie, dobrze? Weźmiemy z sobą osiołki. Włożymy Bobusia w jeden koszyk, a w drugi kawał pieczeni i parę butelek wina... Mój Jerzy, nie boisz ty się zabłądzić?

— Nie aniołku, bądź spokojną.

— Duży kawał pieczeni... i dobrego wina... co to tam stoi?

— To nic, jakiś pieniek po ściętem drzewie.

— Pieniek... pieniek! szeptała ciągle. Ale za nami coś słychać.

— To wiatr tak szumi pomiędzy liściami, a może też gałązka złamana spadła z drzewa.

Szczęśliwi ci, co w nocy pośród lasu mogą czuć się tak spokojnymi, jak przy kominku w fotelu.

Lękać się nie ma czego, a jednak milczenie sprawia przykrość. Mimowolnie oczy szukają czegoś w ciemnościach, chciałyby lepiej ująć przedmioty ukazujące się i niknące co chwila.

Pod nogami wszystko hałasuje, łamie się, trzeszczy; jeśli zaś zatrzymam się, to słychać żałosne szczekanie psów na wsi, hukanie sów zwołujących się i w oddali jakieś głosy niewytłómaczone.

Coś dziwnego otacza nas i cięży. Samotny, zawsze wtedy przyspieszam kroku; idąc we dwoje, chętnie trzymamy się za ręce. Żona silnie się oparła na mnie.

— Żebyś tak chciał, to moglibyśmy zostać traczami? Zbudujemy sobie maleńki ale ślicznıutki szałasik, przy oknie zawieszę firanki, na środku położemy dywan, a w kąciku stanie mój fortepian.

Mówiła cichutko, od czasu do czasu ręka jej drżała na mojem ramieniu.

— Niedługo sprzykrzył by ci się taki szałasik.

— Jesteś szkaradny!

Po chwili dodała:

— Więc ty myślisz że ja cię nie kocham, ciebie i twojego syna?... Oh! właśnie że was kocham... Tak! otóż że kocham... Codzienne szczęście nie da się wyrazić; żyje się tak dobrze nawet nie myśląc o tem.... To tak jak chleb na rano i na wieczór; czy kto myśli o nim... A jednak to życie nasze... nie prawdaż... Od czasu do czasu jednak spoglądamy w siebie samych i wsparłszy głowę na rękach myślimy mówiąc: Jestem niewdzięczny, bo nie dziękuję nikomu za szczęście. Albo kiedy tak we dwoje idziemy pod rękę sami... Czy wiesz że z taką chwilą nic porównać się nie da.... więc słuchaj.... kocham cię.... mój jedyny,... kocham!!. Schyliła głowę na moje ramię i przytuliła się do mnie.

— Boże mój! rzekła, gdybym cię miała stracić! Powiedziała to po cichu, jakby lękając się własnych słów.

— Często marzyłam we śnie że żegnałam się z wami... Płakaliśmy oboje, ja zaś przyciskałam was z całej siły do siebie, jak gdyby pragnąc, ażebyśmy troje stali się jedną istotą.

Czy wiesz że to bardzo przykry sen, a jednak nie gniewam się na niego, bo poznałam

wtedy że w was życie moje... Co tak trzasnęło?... Widziałeś coś przebiegło przed nami?

Za całą odpowiedź, objąłem i ucałowałem ją z całego serca. I szliśmy tak dalej; jednak nie sposób nam było znów zawiązać rozmowę. Niekiedy tylko silniej ściskała mię za ramię i stawała mówiąc:

— Cyt! słuchaj no... Nie, zdawało mi się...

Nareszcie spostrzegliśmy pomiędzy drzewami światełko coraz to znikające po za pniem, i znów błyszczące w oddali. Była to lampa czekająca na nas w salonie. Popchnąłem kołowrotek i weszliśmy do siebie. Było już późno i wilgoć przejęła nas zupełnie. Sam pobiegłem wyszukać drzewa i kiedy ogień zabłysnął jasno i wesoło, usiedliśmy przed kominkiem. Drżała biedaczka. Zdjąłem jej buciki i zbliżyłem nóżki do ognia, starannie jednak chroniąc je rękami.

— Dziękuję ci mój drogi, rzekła pochylając się nademną i patrząc tak rzewnie, że o mało się nie rozpłakałem. Kiedy już rozgrzała się zapytałem:

— Cóżeś ty mi opowiadała w lesie za sny, moja maleńka?

— Jakto, ty jeszcze myślisz o tem? Bałam się i już, a jak się kto boi to zaraz mu roją się różne rzeczy.

— Nie zostaniemy traczami, nieprawdaż?

Wesoło śmiejąc się i całując mnie rzekła nareszcie:

— No idź spać, idź ty leśny człowieku.

Była to jak sądzę ostatnia nasza przechadzka, i dla tego tak ją dobrze pamiętam.

Wieleż to razy później przebiegałem tą drogą wieczorem, przy zachodzącem słońcu, pomiędzy paprociami które ona wymijała idąc ze mną, i odgarnąwszy trawę szukałem, biedny szaleniec! śladów jej nóżki na zeschniętej ziemi.

Często zatrzymywałem się także pod brzozami, które nas tak wtedy zrosiły i w cieniu zdawało mi się że widzę jej suknię kołysaną od wiatru; łudziłem się że słyszę jej głos wydający okrzyki przestrachu; wracając zaś wieczorem, odnajdywałem na drodze wszystkie pozostawione za sobą wspomnienia, od odległego szczekania, aż do trzasku gałązek pod nogami; od drżenia jej ręki, aż do uścisku który jej dałem wtedy.

Pewnego razu zaszedłem do traczów. Znów zobaczyłem tych biednych ale uczciwych ludzi, zadymiony szałas, ławeczkę na której siedzieliśmy, i poprosiłem o trochę wody, ażeby zobaczyć szklankę dotkniętą ustami Ludwiki.

— A dla czegóż nie przyszła pańska żona, co tak wybornie umie smażyć jajecznicę? zapytała mnie staruszka.

Zapewne spostrzegła że na to pytanie zalałem się łzami, bo nic już nie powiedziała więcej, i poszedłem dalej w swoją drogę.

W mojem więc tylko sercu żyje ona dotąd, wszędzie zaś to co nią było, blednieje, zaciera się i znika powoli.

Takie to prawo natury, a jednak wieleż w niem okrucieństwa... Biedne dzieciątko moje, nauczyło się już zapominać; niekiedy zapytuję go mimowolnie:

— Czy pamiętasz twoję mateńkę, odpowiada że tak, a jednak poznaję z wzroku jego że zapomniał już matki zupełnie.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zurych, 15 marca 1876 r.

III.

Główne produkta handlu szwajcarskiego wywozowego są: przędza, tasiemki, wstążki i materye bawełniczne i jedwabne, maszyny wszelkiego rodzaju, wyroby zegarmistrzowskie, złotnicze, słomiane, mięso, sery; w handlu przywozowym: wata, jedwab', żelazo, zboże, mąka, kawa, cukier, sól i wino.

W roku 1872 wartość towarów wywozowych stanowiła 225 milionów fr., towarów przywozowych 465 milionów.

Przy systemie handlu wolnego, Szwajcarya oddalona od morza, otoczona na około państwami, co wysokiem cłem bronią się od napływu obcych produktów, a przez to samo zdala od wielkich rynków świata, Szwajcarya, jak mówię, w handlu swoim miała wiele trudności do pokonania, a jednak z tej walki o byt wyszła ona zwycięzko i jej interesa handlowe stoją obecnie lepiej niż gdzieindziej. Najbardziej potrzebnym dla Szwajcaryi produktem, za jaki oddaje ona swoje bawełniczne i jedwabne wyroby, jest zboże. Oprócz swojego zboża, którego ma rocznie do 2 milionów centnarów podwójnych, musi jeszcze kupować obcego 2—2½ milionów rocznie.

Do 1860 roku zboże to było głównie otrzymywane z Bawaryi; od tego zaś czasu przywóz zboża węgierskiego zaczął się co rok bardziej wzmagać aż do 1868 roku, kiedy nadzwyczajny urodzaj w Węgrzech zapełnił zbożem całą Europę. Po tym nadzwyczajnym urodzaju nastąpiły dla Węgier lata nieszczęśliwe i rynki tutejsze przez Marsylię i Genewę były napełnione zbożem południowo-rossyjskim. Przy ogólnych w całej Europie nieurodzajach 1872 i 1873 roku, Ameryka północna i Kalifornia dostarczyły tu swego zboża i od tego czasu handel zbożowy, który się wprzódy Bawaryi wyłącznie trzymał, ma obecnie tłumy nowych faktorów. Szwajcarya otrzymuje teraz zboże z portów morza Czarnego, z portów Afryki północnej i Syryi przez Marsylię i Genewę lub po części przez Wenecyę; zboże amerykańskie i północno-rossyjskie przesyłanem tu jest z portów angielskich, albo z Antwerpii, Amsterdamu i Roterdamu po Renie przez Bazyleję, również jak zboże burgundzkie; przez Schaffhausen nadsyłają zboże badeńskie i północno-niemieckie; zboże bawarskie, węgierskie, galicyjskie i włoskie przechodzi przez Romanshorn i Rorschat; pszenica z Indyj wschodnich przez kanał Suezki i Wenecyę — znalazła również do Szwajcaryi drogę.

Taka obfitość stosunków handlowych wyrodziła potrzebę obrać punkt stały, którego położenie środkowe, komunikacye i rozwój ruchu bankowego odpowiadałyby potrzebom handlujących. Punktem wystarczającym zupełnie tym warunkom jest Zurych i on stał się obecnie duszą handlu szwajcarskiego. Wielka ilość domów handlowych obcych również jak i miejscowych, otwarła tu swe kantory i agentury. Potrzeba połączenia sił spowodowała utworzenie się towarzystwa handlarzy zbożowych pod nazwą „Getreide-Börse in Zürich," liczącego obecnie do 150 członków, które to towarzystwo ma na celu oprócz obrania potrzebnych punktów handlowych (rynków), oprócz załatwienia wzajemnych sporów między handlarzami, jeszcze zabezpieczenie handlu zbożowego przez zawarcie stosunków rozległych bądź z podobnemiż towarzystwami innych krajów, bądź z wielkiemi domami handlowemi.

Jako najbardziej dobrą stronę w tym rozwoju handlowym można uważać łatwość zadowolenia potrzeb każdej najodleglejszej miejscowości, która w razie nieurodzaju przy dobrej administracyi miejscowej, może być pewną rychłego dostarczenia zboża z najdalszych krańców swiata — i ceny regulowanej ścisłą znajomością, z urodzajem na całej kuli ziemskiej. Jeżeli zważymy jak wielki wpływ mają urodzajne lub nieurodzajne lata na całe społeczeństwo, jak wielki wpływ wywierają one na byt rolników, uwidoczni się wtedy niezbędna potrzeba zawiązywania o ile można rozleglejszych stosunków handlowych, rozumie się przez ludzi, którzyby stali na wysokości swego zadania, bo o zwykłych spekulantach na cudzą biedę — nie mówię. W taki sposób handlarze nie błądząc po ciemku, a wiedząc dokładnie o ilości i cenach zboża na różnych rynkach kuli ziemskiej, przy stosownym obiorze tychże rynków, mogą zapobiegać wielu nieszczęściom. Z czasem być może, kiedy handel przejdzie w ściśle określony dział służby publicznej, będzie to miało inną formę, ale obecnie inicyatywa prywatna jest koniecznie potrzebną.

Kilka liczb co do wpływów urodzaju lub nieurodzaju znajduję tu wcale na miejscu. Obliczonem jest, że jeżeli niedobór zboża stanowi $0,_1$ zwykłej ilości, ceny na zboże powiększają się o $0,_3$, niedobór $0,_2$ podnosi cenę na $0,_8$, niedobór $0,_3$, ceny $1,_6$, niedobór $0,_4$ ceny $2,_8$, nakoniec przy $0,_5$ t. j. połowie zwykłego urodzaju, ceny są o $4,_5$ razy większe od zwyczajnych. Jeszcze bardziej gwałtownym jest upadek cen w razie urodzaju: we Francyi urodzaj pszenicy w 1817 r. 48,157,127 miar dał 2,046 milionów franków; w 1818 roku 52,879,782 miar dał 1,442 mil. fr.; w 1819 r. 63,945,878 miar dał 1,170 mil. fr. Znany Quetelet dowiódł, że czem droższy jest chleb, tem więcej ludzi choruje i umiera, tem mniej kojarzy się małżeństw i rodzi się dzieci i vice versa. Do jakiego stopnia urodzaj lub nieurodzaj wpływa na ludność, można wnosić z tego, że we Francyi nieraz mnóstwo młodych ludzi, stających do popisu, nie odpowiadało potrzebnym warunkom zdrowia, siły, a nawet długości ciała, jedynie przez to, jak zbadanie przyczyn wykazało, że wszyscy przyszli na świat w nieurodzajnym roku. Z tego powodu mówi Quetelet: „nieurodzajne lata zostawują po sobie tak głębokie ślady na rodzaju ludzkim, jak zbyt surowe zimy na wzroście drzew naszych lasów." Statystyczne obliczenia śmiertelności w Paryżu przez ciąg 90 lat dały następujące rezultaty:

W czasie 10 lat nieurodzajnych, kiedy cena 12 miar pszenicy wynosiła więcej jak 21 franków, średnia śmiertelność była 21,174 ludzi rocznie. Przez czas 10 lat urodzajnych, cena na pszenicę 17 franków i średnia śmiertelność 17,529 ludzi rocznie.

Otóż tym to wpływom naturalnym a szkodliwym powinna stawić tamę intelligencya ludzka, bronić ogrom słabszych jednostek od skutków walki o byt; innemi słowy, łagodzić tę walkę. Jeszcze raz powtarzam, że rozumnie ukonstytuowane towarzystwa handlarzy mogą wiele zdziałać na tem polu, bodaj więcej niż wszelka filantropia. Nie wiem na ile odpowiada tym wymaganiom ogół członków towarzystwa tutejszego, jednostki jednak pojmują zupełnie doniosłość ich zadania. Chwianie się cen tutejszych na zboże w roku 1874, kiedy poprzednie nieurodzaje i niepewność przyszłego były przyczyną wielkiej drożyzny i upadku tychże cen w ciągu jednego miesiąca (lipca) o 20%, dowodzą najzupełniej słuszności wyżej wspomnianych praw w naszych czasach.

Co do drugiej z większych gałęzi handlu tutejszego, surowego jedwabiu, w r. 1874 wyprodukowano z zakładów zurychskich więcej jak mil. funtów. Jedwab' otrzymują tu albo wprost z Chin i Japonii, lub też przez Londyn i Ludgard za tą samą cenę co i w innych krajach europejskich; dla tego jedwab' europejski, z którego wyroby na miejscu są tańsze, niż kiedy przejdą przez Szwajcaryę, nie jest tu w użyciu. Transport wątku jedwabnego skierowywa się stąd głównie do Niemiec, co zaś do innych wyrobów z jedwabiu, te idą w najdalsze kraje.

Oprócz niespodziewanego upadku cen jaki miał miejsce ostatniemi czasy, wiele trudności napotyka Zurych w tej gałęzi handlu, z powodu coraz bardziej pogorszających się gatunków jedwabiu chińskiego i japońskiego, a także konkurencyi jaką stawia Zurychowi jedwab' włoski, opracowywany w Lombardyi, gdzie i przyzwyczajenie do pracy tego rodzaju jest wielkie i płace robocze są niższe od tutejszych; dotychczas jednak w skutek wytrwałości szwajcarskiej i lepszych warsztatów mechanicznych, handel ten trzyma się mocno i co rok wzrasta.

Handel towarami bawełnianemi przez parę lat ostatnich wytrzymał znaczne próby, jak w skutek kryzy amerykańskiej, tak też z przyczyny coraz bardziej wzmagającej się konkurencyi z podobnemiż wyrobami Anglii, które są tańsze od tutejszych. W ogóle wyroby bawełniane tutejsze w krótkim czasie będą musiały, jak się zdaje, ustąpić zupełnie z ogólnego rynku.

Maszyny tutejsze w ostatnim roku miały dobry zbyt, szczególniej maszyny parowe (z przyczyny posuchy) i warsztaty tkackie mechaniczne; zaś różne maszyny używane przy kolejach żelaznych nie miały popytu z powodu zbytniej produkcyi tego rodzaju w Niemczech, gdzie jak mówią zbudowano tych maszyn więcej niż Niemcy, Austrya i Rossya razem spotrzebować mogą; w skutek różnych kombinacyj handlowych płace robocze w tym fachu, jak o tem niżej będę mówić, doszły teraz do minimum.

Przy trudnościach jakie Szwajcarya napotykała i napotyka w handlu swoim, ten ostatni jeżeli doszedł do dzisiejszego swego stopnia, to jedynie w skutek ciągłej spekulacyi na taniość sił produktywnych, podtrzymującą jego przemysłowo-fabryczną stronę, bo co do towarów tutejszych, to większość wyrobów, jak bawełnianych tak jedwabnych i sukiennych, nie ma wielkich zalet ani pod względem gustu, ani też trwałości.

Ze swemi towarami Zurych nie wytrzymałby nigdy konkurencyi, żeby robotnikowi płacono tyleż co we Francyi lub Anglii. Tu na miejscu, gdzie konkurencya z towarami obcemi jest niezbyt wielka, towary te są w bardzo drogiej cenie i nie raz dziwiłem się, że wyroby jedwabne można nabyć u nas taniej i w lepszym gatunku, niż tu na miejscu, gdzie całe jezioro zurychskie obsadzone jest naokoło tkalniami i przędzalniami jedwabiu.

Jako o pomocniczych środkach stosunków handlowych musiałbym tu nadmienić o rynku pieniężnym, giełdzie tutejszej i sprawach bankowych, towarzystwach akcyjnych i t. p., ale tego są pełne różne dzienniki, więc dam pokój, a przejdę do wykazu ilości pracowników w fachu handlarskim i płac najemnikom czyli personalowi pomocniczemu.

Trudniących się handlem w taki lub inny sposób jest w Zurychu gospodarzy 1,550 rodzaju męzkiego i 341 rodzaju żeńskiego, 1745 najemników mężczyzn i 708 kobiet; stosunek zatem gospodarzy do najemników 1 : 1,3; handel zajmuje 11,7% całej ludności tutejszej i pod tym względem Zurych ma jedno z pierwszych miejsc pomiędzy miastami szwajcarskiemi.

Fach kupiecki ma tu szczególny powab, tak że większość młodych ludzi widząc przykłady szybkiego wzbogacania się i zapoznając z ufnością młodzieńczą przykłady bankructwa i ruiny, garnie się tłumem do tego fachu, gdzie oprócz innych nadziei płace są największe, chociaż nie wszystkim, lecz tylko zdolniejszym do handlu, ale kto powie o sobie że jest niezdolnym, szczególniej do kupczenia. Wielka ilość ochotników zostaje bodaj nie całe życie przy błogich nadziejach. Ze wszystkich stron słychać skargi, że dostać robotnika albo ucznia do jakiegokolwiekbądź rzemiosła bardzo trudno, subiektów zaś, albo chłopaków handlarskich jest do zbytu, płaca subiekta trudniącego się w sklepie 1,300 fr. rocznie bez utrzymania, podróżującemu w interesach 1,800 fr. i dzienne utrzymanie w czasie podróży; uczniowi kupieckiemu w 1-szym roku nauki 100 fr., w 2-gim 250 fr., w 3-cim 400 fr. bez utrzamania, parobkowi przy handlu 5—6 fran. tygodniowo i utrzymanie; przy bankach płacą zwykłym commis 1,200 frank., korespondentom 1,500 fr., buchalterom 2,000 fr., kasyerom 3,000, pełnomocnikom 3,500 fr. i więcej. Zwykły czas terminu uczniów kupieckich i bankowych jest tu 3 lata i po większej części uczniom stałej płacy nie dają; bardziej zaś we zwyczaju jest dawać im prezenta na Nowy Rok, w 1-szym roku nauki 20—40 fr., w drugim 50—80 i w trzecim 80—100 fr. i oprócz tego otrzymują oni w czwartem półroczu nauki na drobne wydatki 10 fr., w piątem i szóstym po 20 fr. miesięcznie dla zachęty. U niewielu kupców uczniowie mają utrzymanie w bankach zaś nigdy.

Dzień roboczy w fachu kupieckim i bankowym bywa najczęściej 11—12 godzin, często i w dnie świąteczne. W ostatnich czasach, w skutek otwarcia wielu nowych szkółek drugorzędnych (Secundarschulen), mnóstwo młodzieży po ich ukończeniu, stara się wykręcić od rzemiosł i ciśnie się do handlu, przez co płace znacznie zmniejszone zostały, tak, że podmajstrzy w wielu rzemiosłach zarabia daleko więcej niż subiekt kupiecki. Ale honor przedewszystkiem. Jak u nas istnieją jeszcze resztki domowych mniemań, że być urzędnikiem, gospodarzem wiejskim przyzwoiciej i szlachetniej jest niż rzemieślnikiem, tak tu, gdzie szlachty nie ma, handel ma niejako pierwszeństwo przed rzemiosłem. Nie potrzebuję mówić, że to tylko skutki ciemnej głupoty.

Wszystko com mówił o przemyśle i handlu tutejszym ściąga się do stanu normalnego, do czasu zwykłego, bo teraz szczególniej od Nowego Roku, niepokój handlowy i giełdowy jaki ma miejsce w całej Europie, dał się tu czuć tak mocno, że ze wszystkich stron, tylko to słychać, jak uskarzają się wszyscy na bezrobocie, na biedę i ubóstwo. Powstanie hercegowińskie znacznie zmniejszyło transport wyrobów jedwabnych do Turcyi i krajów południowo-wschodnich, przez co oprócz handlu ponoszą ogromne straty wszyscy rzemieślnicy, mający jakąkolwiekbądź styczność z tym przemysłem. W skutek nadmiaru produkcyi maszynowej w Niemczech i dla niektórych innych przyczyn nastąpiła stagnacya i w przemyśle mechanicznych narzędzi, tak, że fabry-Escher, Wyss et Comp., o której podałem wyżej sprawozdanie, zredukowała od kilku tygodni ilość swojego robotnika do 200 osób (wprzód $1^1/_2$ tysiąca) najstarszych pracowników fabryki. W ogóle stagnacya w handlu i przemyśle nad wszelki wyraz i niewiadomo jak długo to potrwa. Barometr zbrodniarski wskazuje ciężkie czasy, bo napady nocne na przechodniów powtórzyły się już kilka razy na zaludnionych przedmieściach; tak, że bez broni nie każdy ryzykuje się wyjść w nocy z domu. Jednem słowem, zamieszanie ogólne, zmniejszenie płac roboczych, a dla wielu i zupełnie bezrobocie, ciężki kryzys. d. n.

Kozienice, d. 15 marca 1876 r.

Kto znał miasto nasze przed dziesięcioma laty i obecnieby do niego zawitał, przyznać musi, że Kozienice wyniesione z nową administracyjną reformą, (1867 roku) do godności powiatowego miasta, znacznie się zmieniły.

Obszerny rynek po którym grzęzłeś po kolana w piasku, przedzielony został na dwie części drogą bitą en chaussée, stanowiącą trakt z Warszawy do Lublina na Gniewoszów i Nową Aleksandryą (Puławy). Na północnej stronie owego rynku, w miejsce dawnego modrzewiowego kościoła, stanął w roku 1869 kościół murowany włoskiego stylu, okolony po odtrąceniu odpowiedniej przestrzeni na cmentarz kościelny, spacerowym ogrodem; południową część podzielono na trzy ulice wypełniające się dziś budynkami, lecz szczególniej w tej części miasta tradycyjny piasek daje się

uczuwać przechodniom, niektóre bowiem tylko ulice zaszczycone zostały brukiem.

Ów olbrzym rynek nim zamieniono go w dzisiejszą postać, nie był poprzednio niwelowany, to też po każdym ulewnym deszczu lub nagłym roztopie śniegów, miejsca lejkowate wypełniają się wodą przedstawiając znaczne sadzawki, które zdala obchodzić należy, i gdyby znowu nie ów piasek zwolna spijający wodę, doczekalibyśmy się bez wątpienia żabiej muzyki.

W tej części miasta pragnący się budować dostają place bezpłatnie, żeby zaś do przyszłych mieszkań niezaprowadzać zwodzonych mostów, odpowiednie robią nasypy lub zbierają wypukłości, i tą łataną niwellacyą regulują się ulice.

Kozienice położone nad rzeczką Zagwożdżanką, nie są bez historycznej przeszłości. Nazwa miasta wedle miejscowego podania powstać miała od tego, że raz polski monarcha polując w bliskiej puszczy na grubego zwierza, nie był tego dnia w strzale szczęśliwym, i gdy strudzony wracał na spoczynek, nagle z zarośli wybiegła sarna, król strzelił do niej i chybił, obecni dworzanie zawołali „kozie nic,“ w pamięć więc trafem ocalonej sarny, Król założoną przez siebie osadę Kozienice nazwał.

Według innych źródeł wspomniona osada nazywać się miała wsią kościelną, jako należącą do panien Norbertanek płockich, inni utrzymują, że nazywano ją Stara wieś, to drugie miano zdaje się być pewniejsze, do dziś dnia bowiem Kozienice złożone z miasta tegoż nazwiska i wsi Wójtostwo pod Kozienicami, przedstawiające jakby jedną całość, graniczą ze wsią Stara wieś, liczącą obecnie 43 osad, z ludnością ogólną 553 głów.

Kozienice były ulubionem miejscem króla Władysława Jagiełły, i on to w roku 1390 wieś wspomnioną nabył od Norbertanek, dając w zamian wieś Bronisław na Kujawach.

Tu w dniu 1 stycznia 1467 r. urodził się Zygmunt 1-szy — i zaraz w pierwszym roku swego panowania zbudował kościół, a syn jego Zygmunt August przywilejem w roku 1549, upoważnił wojewodę ruskiego starostę radomskiego Piotra Firleja, część wsi bliżej dworu położoną, przeistoczyć na miasto.

Następni monarchowie licznemi przywilejami obdarzyli Kozienice, które były pospolitą ich stacyą z Krakowa do Litwy; przejazdy więc te, nadawały wzrost miastu, które z okolicznemi włościami należało do dóbr królewskich, tworząc starostwo niegrodowe.

W początkach kwietnia 1656 r. Kozienice upamiętnił Stefan Czarniecki, znosząc zupełnie Szwedów pod dowództwem generała Tornskild, którego zgon, pomścił ogniem i mieczem książę siedmiogrodzki Rakoczy.

W roku 1704 powtórna wojna szwedzka zastała Kozienice znacznie odbudowane, lecz klęska Tornskilda była tak pamiętną, że znowu padło ofiarą miecza i płomienia, a pozostali mieszkańcy w pobliskiej puszczy schronienia szukać musieli.

W kilkadziesiąt lat później, to jest w roku 1782, kiedy czas zabliźnił wspomnienia szwedzkie i Kozienice zupełnie odbudowane cieszyły się dobrobytem, znów takowe nawiedził ogień i w większej części w perzynę obrócił, lecz panujący wówczas Stanisław August, znacznemi zasiłkami w materyale budowlanym i innych zapomogach, na nowo takowe podźwignął. Istniała tu wówczas fabryka broni palnej przez tegoż króla założona, do której zdolni robotnicy sprowadzani byli z Saksonii, Belgii i Hollandyi.

Rok 1792 zastał w Kozienicach obóz księcia Józefa Poniatowskiego, któren otrzymał rozkaz złożenia dowództwa i tu właśnie wojsko na znak szacunku i żalu, ofiarowało swemu wodzowi medal z napisem „Miles Imperatori.“ W owej epoce był proboszczem kozienickim znany w literaturze ksiądz Franciszek Siarczyński.

Z tych wspomnień i pamiątek, pozostała dziś tylko jedna. Jest to figura murowana, wystawiona po śmierci Zygmunta I, na pamiątkę urodzenia tego monarchy, odnowiona w roku 1702, przez miejscowego starostę podskarbiego w. koronnego księcia Hieronima Lubomirskiego.

Figura ta ma w murowane z czterech stron płyty marmurowe, ma na jednej wyobrażenie Chrystusa z napisem: Sigismundus Rex Poloniae, natus die 1 januarii anno 1467 i dalej: Quoniam praevenisti eum in benedictione dulcedinis, posuisti in capite ejus coronam de lapide pretioso. Psalm XX. Na drugiej stronie znajdują się wiersze łacińskie powtórzone na przeciwnej stronie figury, a na czwartej wyrazy nieczytelne.

Dworzec, w którym w czasie polowania przebywali monarchowie, był poprzednio drewniany, dopiero Stanisław August wystawił obszerny pałac murowany, który z wyżej wspomnionem starostwem niegrodowem, przeszedł w r. 1840 na własność donacyjną.

Kozienice od ostatniego pożaru, w innych warunkach zbudowane, liczą dziś domów po większej części drewnianych 282; w nich ludności chrześciańskiej płci obojga głów 1,258; żydów płci obojga głów 2,397; razem głów 3,655.

Handel w ogólności kramarski znajduje się jak zwykle w rękach wyznawców starego zakonu, którzy dla braku odpowiednich funduszów nabywają towary z trzeciej ręki; lecz za to nader obficie i to z rekomendowanych składów przedstawiają się w złotych przepaskach drogocenne likiery i kijowskie nalewki, bardzo często nowym zasilane zapasem; widać z tego, że uprawiany w dzisiejszych czasach przez p. Wagnera i jego zwolenników spirityzm, jest tu aprobowany, lecz pojęty w treściwem znaczeniu wyrazu spirytus. Z tem pojęciem wiąże się i handel zewnętrzny, kręcący wszystkim handlującym w głowie a ograniczający się głównie na znacznych zakupach okowity dla produkcyi miejscowej, nic więc dziwnego, że w wielu miejscach powiatu od dosyć dawnego czasu zaprowadzone towarzystwo wstrzemięźliwości, nie może zwalczyć wprost przeciwnego towarzystwa.

Prawda, wielu wezwanych lecz mało wybranych, z wezwanych i wybranych są tacy co wódki w usta nie wezmą bo mówią że na to przysięgli, lecz miodek, arak i Gambrinusa ciągną bez litości. Na dowód przytaczam, że w okolicy osady Głowaczów, dwóch członków towarzystwa wstrzemięźliwości wystrzegając się wódki, przepiło na piwie bawarskiem swoje kolonie. Tego przykrego obrazu nie można stawiać za przedstawiciela moralności powiatu, są to wyjątki silnie bijące w oczy.

Wielki świat małego miasteczka jest wszędzie prawie jednakowy, to też i Kozienice pod tym względem nie przedstawiają odrębnego typu. Są kółka i kółeczka towarzyskie zbierające się razem dla wytchnienia po kłopotach codziennego życia i wspólnej rozrywki, lecz poważniejszej myśli tam nie dopatrzysz, a co większa, zabawa która winna do siebie zbliżać ludzi i wiązać w jeden łańcuch bratniej miłości, częstokroć inne wyradza następstwa. Stąd też kółka i kółeczka zmieniają czasem swoje ogniwa otaczając się nowym słojem towarzyskim, zwyczajnie jak na bożym świecie. d. n.

Poznań, w marcu 1876 r.

Miasto nasze od początku prawie tego miesiąca ożywia niezwykły ruch!... Dziwne miasto, powiesz czytelniku, w poście... po karnawale... chyba tam niechrześcianie mieszkają? Otóż ażeby was co prędzej z błędu wyprowadzić, powiem że my ruszamy się nie tylko po gładkiej posadzce salonu, ale i po chropowatej powierzchni, po jakiej codzień musimy stąpić, nie tylko w karnawale, ale w każdej porze roku. Cały rok pracujemy, w karnawale się bawimy a w poście — zdajemy rachunek z naszych czynności. Te więc rachunki są powodem obecnego ruchu w Poznaniu, jaki wyżej zaznaczyłem. Począwszy od 5 b. m. odbywały się tutaj walne zabrania naszych towarzystw, a mianowicie: walne zebranie Towarzystwa centralnego gospodarczego, Banku włościańskiego, Oświaty ludowej, Towarzystwa pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego, Spółki akcyjnej teatru polskiego, Towarzystwa tutejszego pożyczkowego.

Nie mogę się tutaj wdawać w szczegółowy rozbiór działalności każdego z tych towarzystw w ubiegłym roku, jakiej obraz był przedstawiony na walnych zabraniach, nie mogę nawet dokładnie naszkicować tego obrazu, gdyż za dużo by to zajęło miejsca. Muszę ograniczyć się na zaznaczeniu tylko po kilka najcharakterystyczniejszy rysów, danego towarzystwa, do czego i przystępuję.

Towarzystwo centr. gospodar. dla wielk. ks. Poznańskiego, odbyło walne zebranie w dniach 7 i 8 przy licznym zjeździe członków delegatów towarzystw filialnych i ożywieniu jakiego dawno nie bywało. Z sprawozdania o czynności tego towarzystwa za rok ubiegły dowiadujemy się, że oprócz wydziałów w łonie jego istniejących już dawniej (ogólnego, rolniczego, leśnego i hodowli), utworzony został wydział techniczno-fabryczny a także wskrzeszone zotało z letargu towarzystwo owczarskie. Kółka włościańskie, które mają za cel pouczanie i oświecanie wzajemne w sprawach gospodarstwa wiejskiego, rozporządzeń odnośnych władzy co do podatków, dróg i t. p., kółka te, musimy tu z przyjemnością zaznaczyć, z każdym niemal dniem powiększają liczbę członków a także tworzą się i nowe. Z trzydziestu dwóch w 1874 r. wzmaga się liczba na rok

1875 do czterdziestu kilku; na ś-ty Jan do pięćdziesięciu ośmiu, a po kilku znowu miesiącach—dzisiaj—przechodzi znacznie po nad 60. „Do 3,000 zatem, jak powiada sprawozdanie, włościan widzimy wplecionych w koło wspólnej pracy i nauki; a ilu ich jeszcze wygląda zachęty i przewodu! Zdaje się tedy że w tym przynajmniej kierunku spodziewać się należy coraz bogatszych zdobyczy, nie zaś porażki i zastoju, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę, że byt i powodzenie tej instytucyi wyjątkowo nie zawisłe od ofiar pieniężnych, „tego warunku smutnego, o który rozbija się i tłucze tyle zamysłów wbrew chęciom gorącym.“ O ile z prawdziwą przyjemnością zapisaliśmy powyższe słowa referatu o tyle ze smutkiem, jako kontrast przychodzi zapisać nam co następuje: „Od udziału w towarzystwie gospodarczem wstrzymuje się wielu. Całe rady, grupy całe, przedstawiciele rozległych częstokroć posiadłości, niezachwianie stoją na uboczu“.... „Jakiejże dosłuchamy się myśli, powiada dalej autor referatu, szczelnie zestawiając przy sobie dwa te objawy. W naszych sferach, w obec towarzystwa gospodarczego —abstynencyi tyle; wśród ludu zaś do kółek —ta niekłamana ochoczość.“ Kółka włościańskie, musimy to objaśnić, niezależą bezpośrednio od towarzystwa gospodar: a tylko to ostatnie chcąc dopomódz pracy patrona kółek, na posiedzeniu delegowanych 28 kwietnia r. z. uchwaliło, „ażeby każda dyrekcya tow. filialnego jako taka, brała na siebie obowiązek znoszenia się z patronem kółek rolniczych włościańskich, i dostarczania wszelkiej pomocy, jakiej tenże od dyrekcyi dla organizacyi kółek włościańskich zapragnie.“ Oprócz wielu pytań tyczących się pośrednio lub bezpośrednio rolnictwa krajowego, poruszanych już to na zjazdach delegatów z towarzystw filialnych w ciągu roku ubiegłego, już to na ostatniem walnem zebraniu roztrząsano pytanie więcej społecznego znaczenia, którego tutaj przemilczeć mi nie wypada, mianowicie: jakim sposobem zaradzić ustawicznemu przeprowadzaniu się ludzi służebnych? Postawiono także wniosek podania petycyi do parlamentu celem zniesienia podatku gruntowego; nadto poruszono kwestyę „taryf różniczkowych“ na kolejach żelaznych, które tak niekorzystnie wpływają na krajowe rolnictwo w obec konkurencyi z Rosyą, Węgrami i Ameryką. Na tym bardzo pobieżnym zarysie kończymy rzecz o Tow. cent. gosp. a przechodzimy teraz do Banku włościańskiego.

Bank włościański. Spółka akcyjna w Poznaniu —założony w r. 1872. Przedmiotem jego jest prowadzenie interesów bankowych i hypotecznych w celu ułatwienia włościanom kredytu. Na walne zebranie odbyte w d. 7 b. m. zebrała się dość spora liczba akcyonaryuszy reprezentująca w ogóle 131 akcyj; z odczytanego sprawozdania dowiadujemy się że: obrotu w banku r. z. było 4,619,394 marki, kapitał zakładowy w końcu r. 1874 wynosił m. 480,210

w ciągu r. 1875 wypłacono	97,530
tak że w końcu r. 1875 wynosił m.	577,740

Więcej szczegółów nie przytaczam ażeby was szanowni czytelnicy nie znużyć liczbami, których zapewne nie lubicie, dodam tylko że „Bank włościański,“ dzięki roztropnemu kierownictwu bardzo się pomyślnie rozwija.

Towarzystwo oświaty ludowej przeszło w ciągu swego czteroletniego istnienia przez ciężkie próby; podejrzewano je i dyskredytowano na wszelkie sposoby, a jednak trzyma się ono i nie upada, jakkolwiek rozwija się rzec można bardzo powoli! Ze sprawozdania odczytanego na walnem zebraniu w d. 8 b. m. dowiadujemy się co następuje: *a*) dyrekcya w ciągu roku odbyła w ogóle posiedzeń 19, nie licząc w to zebrań wydziałów, mianowicie wydziału administracyjnego, literackiego i ochronek; *b*) towarzystwo udzieliło następujące subwencye: dla ochronki 900 marek i na szkołę fachową dla młodzieży rzemieślniczej 600 m.; *c*) na konkurs nie rozpisała dyrekcya w tym roku żadnego zadania, zakupionym został tylko jeden rękopis powieści; *d*) główna jednak czynność towarzystwa była zaopatrywanie ludu w doborowe książki i zaprowadzanie biblioteczek; czynność ta w liczbach tak się przedstawia: od 1 marca 1875 do 15 lutego 1876, wydano

książek treści	religijno-moralnej	1,300
„ „	historycznej	600
„ „	gosp. przem. i przyrod.	700
„	powieści, poezyi, opisów podróży i t, d.	1,747
	ogółem	4,347

wartość których wynosi 2,794 m. 50 fen.

Nadto rozeszło się w r. ubiegłym obrazów 2,960, z których treści religijnej 2,800, zresztą treści historyczno-polskiej.

Towarzystwo pomocy naukowej imienia K. Marcinkowskiego, ma za cel przychodzenie z pomocą materyalną młodzieży W-go ks. Poznańskiego, kształcącej się w rozmaitych zakładach naukowych w kraju i zagranicą. Towarzystwo to cieszy się popularnością i powodzeniem trwałem, jak tego mamy dowód z czynności roku ubiegłego, który był prawdziwym komieniem probierczym dla wszystkich towarzystw w naszej prowincyi. Bodaj czy nie jedyne to towarzystwo opierające swe czynności na funduszu składkowym, które nie uczuło skutków przesilenia ekonomicznego z lat ostatnich jakie dotknęło kraj w ciągu lat kilku. Ale przystąpmy do sprawozdania. Dochodu było w roku zeszłym w ogóle 38,688 m., rozchodu 33,201 marek, pozostał zatem remanent 5,487 m. Posiada więc w ogóle z remanentem z lat poprzednich 91,434 m.

Towarzystwo miało na swem stypendyum w uniwersytecie w Berlinie 3 uczniów, w Wrocławiu 23, w Greifswaldzie 11, w Hali 1, w Lipsku 1, w Białogrodzie 1, w akademii rolniczej w Berlinie 8, w akademii budownicze w Hanowerze 3, kształcących się na budowniczych i rzemieślników w Poznaniu 2, uczącego się handlu w Poznaniu 1, w gimnazyum Maryi Magdaleny 17, w Lesznie 2, w Ostrowiu 6, w Trzemiesznie 1, w Rogoźnie 1, w Inowrocławiu 1, Wągrowcu 1, w Gnieźnie 1, we Wółczu 2, w szkole realnej w Poznaniu 1, w seminaryum nauczycielskiem w Rawiczu 9, w Kcyni 3, w Paradyżu 6, razem 102. Musimy tu podnieść że dyrekcya stara się zwrócić młodzież do wyboru zawodów praktycznych. Atoli starania jej ze wszech miar godne uwagi, dotąd okazały się bezskuteczne; „młodzież, jak powiada sprawozdanie, a po części i rodzice nie mogą się widać pozbyć przesądu głęboko zakorzenionego, że tylko zawody wyższe techniczne i naukowe, mogą jej zapewnić pewną i korzystną przyszłość.“

Jeżelim was dotąd szanowni czytelnicy nie znudził temi sprawozdaniami, to bądźcie tacy łaskawi na waszego sługę i —jeszcze posłuchajcie dwóch; tylko dwóch. Towarzystwa pożyczkowego m. Poznania i S-ki akcyjnej, teatru polskiego. Słowo honoru nic więcej; a te będą króciutenkie. Otóż co do pierwszego: obrót ogólny wynosił 7,229,766 marek. Fundusz rezerwowy który w skutek strat poniesionych w roku 1874 był zupełnie wyczerpnięty, wynosi obecnie 728 m. dywidenda projektuje się na 5 procent. Depozyta wynosiły w końcu r. z. ogólną kwotę 535,858 marek. Weksli w tym czasie było za 636,562 m. Towarzystwo to podczas tak zachwianego powszechnie kredytu w ostatnich czasach, nie małą oddało usługę jako główna dźwignia kredytu dla wszystkich warstw społeczeństwa w księstwie.

Co do S-ki akcyjnej teatru polskiego, to możemy tylko powiedzieć, że stan kasy jest następujący: stan czynny 509,808 marek, stan bierny tyleż, niespłacone koszta budowy 42,000 m. Natomiast przy tej sposobności powiemy kilka słów o samym teatrze. Trupa tutejsza straciła niedawno swego rzec można filara — p. Rychtera, które w skutek nieporozumień z dyrekcyą opuścił z żalem powszechnym naszę scenę. Miejsce jego jako reżyserowie zajęli pp. Doroszyński i Terenkoczy, najzdolniejsi artyści naszej sceny, oprócz tych odznacza się jeszcze z mężczyzn p. Łucyan, z kobiet zaś — panie Doroszyńska i Terenkoczy. W ogóle szczerze musimy się przyznać, że teatr nasz siły artystyczne posiada bardzo mierne, chociaż zabiegi dyrekcyi pozwalają nam się spodziewać że siły te wzmocnione zostaną. Nie odrazu Kraków zbudowano. Teraz bawi w Poznaniu i występuje jako gość artystka teatru lwowskiego pani Ładnowska, która zyskuje oklaski bo jest ładna... Repertuar jest w ogóle urozmaicony i doborem sztuk zasługuje na uznanie. Powódź jak wam donosiłem w poprzedniej korespondencyi, zrządziła wielkie szkody, jak w samem mieście tak i w okolicach. Woda znacznie spadła, lecz niektóre ulice jeszcze znajdują się pod wodą. Na dotkniętych powodzią ukonstytuowany w tym celu komitet zbiera składki, wydaje obiady i zapomogi pieniężne.

W WYPRÓCHNIAŁYM DĘBIE.

OPOWIADANIE

przez

Witosława Halka

przełożył z czeskiego

ALEKSANDER PETRÓW.

(dalszy ciąg).

III.

Tego dnia podróżowali długo i minęli wiele wiosek. Póki nie dokuczał głód, raźno podążali, ale skoro głód zaczął się odzywać, musieli przemyślać jakby się go pozbyć. Do tego czasu przechodzili przez wioski jak dla zabawki i nie chciało im się zatrzymywać pod

konami i swą muzyką oznajmiać, że się im jeść chce. Skoro jeduak rzeczywistość była mocniejszą, niżeli ich młoda myśl, przedsięwzięto stanowczy krok. Było już po południu, gdy się zbliżali do nowej wsi, a nogi im omdlewały. Siedli przy wsi pod wierzbami, i Jaś rzekł.

— Sprobujemy tedy szczęścia, a teraz uradźmy, co będziemy grali i śpiewali.

I poczęli radzić! W tym czasie dzieci schodziły się w tej wsi do szkoły; słysząc młodych graczów, chłopca i dziewczynę, którzyby jeszcze mogli z niemi do szkoły uczęszczać, przystanęli i przysłuchiwali się, a że muzykusi i uczniowie byli równie młodzi, wkrótce się więc porozumieli. Młode towarzystwo płaciło czem mogło i Jaś im obiecał, że odprowadzi ich do szkoły.

I odprowadził. Kasia kroczyła obok niego i Jaś grał co umiał, do tańca, do skoków, do śmiechu. Za nimi postępowała szkolna młodzież i do wsi wtargnęła ciżba tak wesoła, że nic podobnego tam nigdy nie widziano. Do szkoły nadciągnął tłum tak rozigrany, że ani szkoła nie widziała nic podobnego. W jednej chwili szkoła była pusta i w koło Jasia i Kasi zgromadziło się słuchaczów, co tylko było we wsi i w szkole dzieci. Tu zaczęła śpiewać Kasia a Jaś grał, i dzieci z radości odchodziły od siebie. Gdy się rozniosło pomiędzy niemi, że są to sieroty, datki jakby z dżdżem posypały się. Grosze, wszelakie przekąski i łakocie, które dzieci niosły ze sobą do szkoły; pieniędzy miał Jaś prawie pełne garście, a jadła i łakotków Kasia dźwigała cały fartuszek.

Ten szczęśliwy początek wlał w nich odwagę i nadzieję. Skoro czas się zbliżał, że dzieci już musiały do szkoły iść, umówiły się z Jasiem i Kasią, żeby tu przyszli po nauce. I toż było dziwowisko! Młodź szkolna powracała ze szkoły z grajkami; postąpili sobie jak ci wielcy panowie, którzy każą się przy odgłosie muzyki, przy pochodniach odprowadzać z sutych bankietów do domu. Chodzili tak od domu do domu, wszędzie trochę grali i śpiewali, wszędzie im młodzież towarzyszyła i we wsi było, jakoby wiosna nadchodziła. W domach dostawali podarunki, które ledwo mogli zabrać.

Grali też i śpiewali smutne pieśni. Kasia śpiewała „Osierociało dziecię,“ Jaś akompaniował, a jak dzieci powiedziały rodzicom, że to są sieroty: wtedy z oczu każdego potoczyły się łzy; starzy i młodzi płakali na głos, tak wszyscy lamentowali, jak gdyby kto umarł. Jużeśmy widzieli, jak tę pieśń zagrał na pogrzebie swego ojca; obecnie do muzyki przyłączył się śpiew Kasi i ta w niczem nie ustępowała Jasiowi. Dokoła nich nie stały sieroty, ale nie znalazłbyś ani jednego serca żeby na wskróś wzruszone nie było. Dzieciom się zdało, jakoby swe matki straciły, a matkom, jakoby już leżały w grobie i dzieci je zagrzebywały. Wrażenie, jakie śpiewała pieśń, było ogromne. Znali tę pieśń, ale póki żyli, nie wydała się im taką jak dziś. Jakby ją po raz pierwszy słyszeli; słyszeli w niej dźwięki zupełnie nowe, nikt nie przeczuwał w niej tyle płaczu, od którego powstrzymać się nie zdołano. Pieśń naszych małych muzyków przyoblekła się w całą wspaniałość, nawet majestatyczność, od której człowiek czuł się upokorzonym.

Jeśliby byli, po tej pieśni, poprosili gospodarza albo gospodynię, aby byli dla nich ojcem i matką, ani chwilę nie namyślaliby się jak mają postąpić, niezawodnie wzięliby ich do domu za swoje. Kogokolwiekby poprosili, nie doznaliby zawodu.

Już nie potrzebowali* starać się o posiłek. Każdy ich sobie wyrywał, ten brał ich do domu, ów zapraszał ua jutro, tamten nazajutrz, i tak mogliby spędzić cały tydzień jak we własnej zagrodzie. Każdy sądził, że to nie są wędrowni muzykusi; Jaś i Kasia jakoby byli ich dziećmi.

Na drugi dzień rano odprowadzali młodzież do szkoły, po szkole zaś do domów, i we wsi mniemano, że tak być powinno. Póki życia młodzież tak ochoczo nie chodziła do szkoły; i nie wracała tak wesoło z niej.

Obiecali w niedzielę zagrać i zaśpiewać; i tu, panie, ludzie, miasto na ołtarz mieli oczy zwrócone na chór. Ludzie słysząc ich granie i śpiewanie w domu i kościele, przywykli do nich, niejako spokrewnili się, rozmawiając między sobą „o tych dzieciach.“ Tutaj najpierw usłyszeli ich, i tutaj też po raz pierwszy usłyszeli takie granie i śpiewanie. W tę niedzielę mogliby się udać na obiad do domu, do jakiegoby pożądali, wszystkie drzwi stały dla nich otworem.

Szczęście towarzyszyło małym wędrowcom, obcy ludzie troszczyli się o nich, tak jak o własne dzieci, jak gdyby byli członkami ich rodzin. W swojej wędrówce znaleźli się na rozdrożu: mogliby, jeśliby się tak stało, zboczyć z drogi i skończyć gdzieś w kale i błocie, z którego naprożnoby się kusili wydostać; lecz trafili nie na taką drogę; droga ich wiodła inaczej.

Sława młodych muzyków rosła. W sąsiedniej gminie zachciało się także młodzieży, aby była odprowadzana ze szkoły i do szkoły przy dźwiękach muzyki; zaproszono więc ich i gdy Jaś i Kasia opuszczali wioskę, gdzie zaczęli swą podróż artystyczną, mali i starzy przeprowadzali ich dość duży kawał, jakby własne swoje dzieci. Na pożegnanie zagrali jeszcze „Osierociało dziecię,“ i odprowadzający zaleli się łzami. Lecz Jaś zagrał skoczny kawałek i rozłączenie było wesołe. Ściskali ich i całowali, obiecując w razie powrotu przyjąć ich z rękoma otwartemi.

Tak się rozeszli, w nowej wsi już czekała młodzież, i Jaś i Kasia wkrótce byli dla nich jak brat i siostra.

Przeprowadzali i tutaj do szkoły i ze szkoły, i na drodze taki był tłum, jak w pierwszej wiosce. Cała wioska trzęsła się z radości, a gdy zagrali „Osierociało dziecię,“ ludzie we łzach tonęli. Pieśń ta wszędzie miała jakowąś moc czarodziejską. Nawet ludzie dotknięci ciężką boleścią, słuchaliby jej do późna w nocy i dalej. Zaglądali Jasiowi do strun, ażali to z nich wychodzi co słyszeli. Musiało jednak w nich to być, choć inaczej im się to wydawało, skoro z Jasia nic nie wychodziło. Kasi było łatwiej przekonać ich, ta mówiła ustami, wszak snadniej wierzyć w serce.

W niedzielę po południu zgromadzili się młodzi i starzy na plac przed kościołem. Tutaj Jaś grał, Kasia śpiewała, wnet młodzież ich otoczyła, za młodzieżą pozłazili się starsi, i już nie wiem, ktoby był w domu został. To też mogliby źli ludzie chodzić od budynku do budynku i zabierać wszystko, niktby im tego nie bronił, dla tego że nikogo nie było w domu, ktoby im mógł przeszkodzić. Lecz owi źli ludzie, którzyby wybiegli dla kradzieży, słysząc Jasia i Kasię, zaniechaliby grabieży a byliby szli i także słuchali. Jaś i Kasia popisywali się z całym swym zasobem pieśni; co tylko mieli w pamięci i co umieli wszystko grali, i mszą grali i śpiewali, a ludzie mówili, że tak uroczyście nie spędzali żadnej niedzieli.

Sława ich rosła. Ledwo tutaj zaczęli się poznawać, już ich wołali z dwóch, z pięciu wiosek naraz, żeby do nich przyszli i rozweselali. Cała okolica rozmawiała o nich, i gdyby do samej śmierci nie poszli gdzieindziej, jak tylko do wiosek sąsiednich, po kolei wędrując z jednej do drugiej, do samej śmierci nie potrzebowaliby starać się o chleb powszedni.

Przyszli i do miasta podczas targu; a skoro stanęli na rynku, ludzie zaprzestali kupować i szli słuchać. Kupcy aż się gniewali na nich, że im kupujących odciągają; lecz jak ich usłyszeli, przebaczyli i dawali także dary, podobnie jak drudzy. Gorzej patrzyli na nich inni śpiewacy, którzy na targowisku powznosili budy i na malowanem płótnie przedstawiali to, o czem mieli śpiewać. Nie mieli u siebie ani żywej duszy, prędko też musieli zwinąć budy, narzekając na lichy targ, lecz głośno tego nie wyrażali. Nasi mali muzykanci zwabili ku sobie niezliczoną moc słuchaczów, tak że w danym razie znalazłoby się tylu obrońców co słuchaczów. Oprócz tego mieli i starych przyjaciół: ludzie którzy ich na targu słuchali, po większej części słyszeli ich już w domu u siebie, i zgłaszali się do nich jako do dobrych znajomych, jako do swoich krewniaków.

Nie potrzebujemy dodawać, że Jasiowi i Kasi w tej wycieczce wiodło się dobrze. Odzież na nich była nader przyzwoita. Jaś nosił takie ubranie, jak był pasterkiem, tylko że wszystko nowe i pasowało doskonale, jakby na nim ulano. Kasia stroiła się jak wiejskie dziewczęta, tylko że okazalej. Głowa obwiązana jedwabną chusteczką, na szyi dukaty, gorset i krótka suknia, także było widać piękną nogę w białych pończoszkach i niskich trzewikach.

Byli jakby na obrazku. Wszędzie uważano ich za brata i siostrę, i rzeczywiście byli jako brat i siostra.

Rok im upłynął jak dzień, a trzy lata jak trzy dni. Jaś już miał ośmnaście lat a Kasia piętnaście. Chłopiec jak wiosna, rad na dziewczę spoglądał. Wszak patrzano na nią, i Jaś niekiedy sam w nią się wpatrywał jak w tęczę.

Zdarzyło się, że raz przyszli do miasta, lecz nie podczas targu; w mieście dawano przedstawienia teatralne, z okolic wieśniacy idący rozmawiali o teatrze i zachęcali Jasia i Kasię, aby szli z nimi. Kasia popatrzała się na Jasia i Jaś szedł z nią.

W drodze nie rozmawiali ze sobą; Kasia

myślała o tem, co to będzie w teatrze, i Jaś pewnie o tem samem myślał. Spoglądali w świat nieznany, strzelając oczami na wsze strony.

Jeszcze nigdy nie byli w teatrze. Gdy się tam znaleźli, wszystko ich zajmowało. Widzieli mnóstwo ludzi, przed sobą zasłonę, a za zasłoną widać coś będzie; zasłona się podniosła i przedstawił się ich oczom las. Wtedy oboje przypomnieli sobie swój las, który się ciągnął za podgórzem, przypomnieli sobie wypróchniały dąb i ową rzekę, która się wiła na podnóżu gór; i chciało im się płakać i chciało im się śmiać. Lecz w lesie za zasłoną było wcale inaczej. Tu przychodzili ludzie i mówili, i bawili się razem, i naszym dwóm słuchaczom i ten las za zasłoną był miły; mieli w nim zupełne złudzenie. Wszystko wydawało się jakby prawda, jakby żywe; musieli się i śmiać, musieli się i smucić.

Po skończonej grze powstał nadzwyczajny hałas. Przysłuchawszy się, poznali, że ich imiona wywołują, i nie było ust, któreby nie wołały. Rzeczywiście ich imiona brzmiały, i zanim upamiętali się, czuli się dotkniętymi przez rękę, wiele rąk, i niż znowu przyszli do siebie, byli wepchnięci na wzniesienie za zasłonę, do tego lasu, i setki gardeł wołało, aby Jaś grał a Kasia śpiewała.

I stało się z nimi jakoby w bajce: ani wiedzieli jak to się zrobiło, lecz śpiewali, grali. Zdawało się im, że stoją na swem podgórzu, a jednak było wszystko inaczej. Gdy skończyli, był teatr samym krzykiem, był jakoby jedne usta i musieli grać i śpiewać znowu. I zdało się im jakoby byli zaczarowani. A gdy i to się skończyło, widział Jaś, że w koło Kasi roi się mnóstwo młodych panów i rozmawiają z nią o teatrze i o rzeczach, których sam nie rozumiał i których zapewne i ona nie rozumiała. I mówili z nią o rzeczach, których nie rad słuchał i których słuchać nie chciał. Przykro mu się zrobiło, wziął Kasię za rękę i wyprowadził ją i z teatru i z miasta.

Jasiowi było jak gdyby dostał innych oczu. Kasia zaś jakoby się stała inną, niż była dotychczas. Piękniejszą, stokroć, tysiąckroć piękniejszą, jak dotąd była, i niż jak jej powiadali w teatrze. Jaś myślał, że powinien jej to powiedzieć, ale gdy szukał wyrazów, nie znajdował ich, a skoro znalazł, gdzieś w gardle więzły. I było Jasiowi, jakoby miał inne serce. Właśnie tak, jak gdyby teraz dopiero coś zaczęło się odzywać w piersiach, a to było jego serce. Biło ono coraz głośniej, było przepełnione a jak się pytał, co w niem jest, musiał odpowiedzieć, że to Kasia. Chciał jej to wyznać, lecz serce jeszcze gwałtowniej uderzało, i gdy się wahał, bladł jak ściana i dech musiał z głęboka wydobywać.

Nie pamiętał, od jak już dawna Kasia z nim dzieli swe losy; jak tylko pamięcią zasięgał zawsze była obok niego, z nim. W szkole, w kościele, na podgórzu, w drodze, wszędzie bywała z nim i inaczej być nie mogło. Dzisiaj zdawało się Jasiowi, jakoby ta Kasia, która z nim idzie, była inną Kasią, niż owa, z którą chodził. Nie była już więcej opuszczoną sierotą, dla której on był bratem. Była obecnie Kasią, panną, i pomyślawszy o tem, chwiał się.

Aż do obecnej chwili miewali jedno łóżko i gdy się położyli, byli jak dwoje pisklął, z jednego gniazda. Dziś, przyszedłszy do zajazdu, w którym nocowali, Kasia sama położyła się do łóżka, po raz pierwszy sama; Jaś wyszedł na dwór i płakał. Był po raz pierwszy sam w nocy i czuwał całą noc.

Na drugi dzień ledwo śmiał na Kasię podnieść oczy. Sądził że ona jest czemś wyższą od niego, i że należy prosić, aby mu dozwoliła być obok siebie. Był smutny i Kasia gdy popatrzała na niego, była też smutną i spuściła oczy. Przecie sobie niczem nie ubliżyli, nic sobie na złość nie uczynili, nawet się najmniejszem słówkiem nie obrazili.

Dziś skrzypce wisiały spokojnie na ścianie, Jaś był jak złamany. Chciał ustawicznie, aby się Kasia z nim spotkała, a gdy się z nią spotkał, chciał aby był stąd daleko, jakby się przestępstwa jakiego dopuścił. Zdawało mu się, że Kasia wzdycha, chciał się jej zapytać, i, gdy ją zobaczył, widział, że jest czerwona jak róża, że jest piękna jak wiosenny dzień; tylko usta jej czasami trzęsły się, jakby coś chciały wyszeptać, lecz zwarły się i nie szepnęły. Była smutniejszą od Jasia i nie przemówiła ani tyle nawet co Jaś.

Jeszcze upłynął nie jeden dzień, a oni byli jeszcze bardziej dla siebie obcymi. Jaś nie zagrał, Kasia nie zaśpiewała, nie przemówili, nie zaśmiali się, nie pocieszyli się, a jednak Jaś czuł się szczęśliwszym niż przedtem. Aż raz rano przerwał milczenie Jaś: — Kasiu, mnie się zdaje, że będę chorował.

Kasia spojrzała na niego z bojaźnią i rzekła: — Pocóż byś chorował?

— Bardzo mi tęskno, Kasiu. Chodźmy na podgórze do dębowego lasu; jeśli mam wyzdrowieć, tam wyzdrowieję; jeśli nie, tam chętniej umrę.

— Pocobyś miał umrzeć? rzekła Kasia. Jesteś tak młody, dodała i było jej, jakoby zanadto wiele powiedziała, i jakoby temi słowy grzechu się dopuściła. Odwróciła się od niego i po dobrej przerwie przemówiła:

Jeśli ci tęskno, chodźmy. Już tam trzy lata nie byliśmy.

I szli. Szli tam, gdzie po raz pierwszy spotkali się, gdzie razem grali i śpiewali, gdzie byli jak dwaj aniołowie, gdy dla nich wypróchniały dąb był świątynią, i ztamtąd po raz pierwszy udali się w świat.

Drogę przebywali bardzo wolno. Im bliżej dochodzili do podgórza, tym więcej Jaś stawał się ociężałym, i gdy raz spojrzał na Kasię, rzekł: — Kasiu, my idziemy jakoby każde osobno.

Szli każde osobno, każde we własnych myślach zatopione.

Wzięła go Kasia za rękę, ręce ich były jak ogień, lecz były wilgotne. Daleko gorzej było z mową i chodem. Usta mieli jak spalone, krok ich się chwiał, puścili ręce i każde szło oddzielnie.

Gdy drogą byli znużeni, usiedli pod wierzbami nad potokiem, który zdążał do rzeki, aby sobie odpocząć. Nogi odpoczywały, ale w duszy, jakby kroczyli dalej. W bliskim lesie zakukała kukawka, Kasia popatrzała na Jasia, lecz wybuchnęła płaczem, głowę położyła Jasiowi na piersi i głośno załkała. Jaś muskał jej włosy, głaskał po twarzy, ścierał łzy z niej i był jakby pomieszany. Na to Kasia przestała płakać; wstała, poszła do potoku, narwała niezapominajek i wplotła je do włosów. I gdy ją spostrzegł Jaś, zdawało mu się, że mógłby dla niej zgłupieć, tak się mu podobała.

Nareszcie powstali, szli dalej i rozmawiali. Jasiowi się zdawało, że ciężar spadł z piersi, słowa że z pęt się rozwiązały i że może swobodniej oddychać. Tylko tego, co chciał powiedzieć, przecie nie powiedział, a tylko to mu przeszkodziło, iż słowa znowu gdzieś uwięzły. Bądź co bądź czuli się całkiem weselszymi. Już nie mogli utrzymywać, że każde idzie osobno. Już było, jakoby się prowadzili.

Gdy zaś znowu usiedli, aby odpocząć, nie przytuliła się Kasia więcej z płaczem do piersi Jasiowych; lecz Jaś wziął głowę jej do swych rąk, przycisnął do swych piersi; muskał włoski, głaskał twarzyczkę, wycierał oczy, aczkolwiek te nie były wilgotne.

Wieczór zapadał, gdy się przybliżali do podgórza. Słońce zostawiło po sobie tylko promienie, dzień zostawił po sobie tylko cień; nastawał wieczór i z nim zapach kwiatów i ptasi śpiew.

Gdy przyszli na podgórze i zobaczyli wypróchniałe drzewo na skraju lasu, Jaś cieszył się jak dziecię a gdy siadł na jego progu a Kasia obok niego, rzekł: Kasiu, już nie jestem chory.

I zdawało się Jasiowi, że, jak żyje, nie miał tak pełnych piersi, jak właśnie dziś, i, że jak żył, nie czuł tego co dzisiaj. Gdyby to miał wypowiedzieć, nie dowiódłby tego, lecz jak się popatrzał na Kasię, myślał, że wszystko wyjawił. I zbierało się mu do płaczu, lecz więcej do radości. Rzeka i wieś rozweseliły umysły strapione; ta kukawka, która im dziś nad potokiem pod wierzbami zakukała, pewnie odprowadziła ich aż dotąd: kukała w lesie.

I zdawało im się, że dopiero wczoraj stąd wyruszyli. Wieś, rzeka, pole, las, wypróchniały dąb, wszystko było jednakie, niezmienione; w wypróchniałym dębie kołek nawet tkwił, na którym Jaś wieszał skrzypce. Tylko, popatrzywszy na Kasię, wydawało się mu wszystko inaczej. I patrzał na nią wiele razy, i wiele też razy wydawało mu się wszystka inaczej Oko Kasi było wilgotne, pełne ognia, a gdy się dotknął jej ręki, ta była znowu jak żywy ogień.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, rzekła Kasia Jasiowi, że nigdy o nim nie zapomni, a Jaś na to odpowiedział:—Pocóżbyś się miała rozłączyć?

Kasia na to położyła swą głowę na piersi jego i płakała i łkała, jakby się z nim na wieki żegnała. I całowała go w twarz, w oczy, w czoło, w usta; po raz pierwszy go całowała.

Jaś znowu rzekł: — Kasiu, bądź ty moją.

Na to Kasia jeszcze silniej go przycisnęła ku sobie, lecz nagle porwała się i pobiegła do lasu. Jaś siedział długi czas, i jakoby śnił, że w koło niego lata szczęście i że już je prawie pochwycił. Trzymał je w ręku, patrzał na nie, lecz nie wiedział co począć. Tu zawołał:—Kasiu, Kasiu! Gdy się Kasia nie odzywała poszedł również do lasu, nazgrzebywał rękoma

mech i liści, w naręczu zaniósł je ku drzewu, wewnątrz którego urządził posłanie. Później usiadł na progu i był jako na straży.

Kasia nie powróciła jeszcze, pomimo to Jasiowi zdawało się, jakoby przy nim była i jakoby ją widział za każdem spojrzeniem, i za każdem spojrzeniem piękniejszą. I rzeczywiście była tutaj, stała przed nim jak cień, ani się ruszyła; głowę miała nachyloną, ręce załamane.

— Kasiu, jużem ci przyszykował łóżko w tem drzewie, rzekł i głos mu drżał, jakby pragnął coś więcej powiedzieć. Kasia, nic nie rzekłszy, udała się do drzewa i położyła się na liście i mech. Jaś nieco zapuścił się w las i tam się położył.

Ale nie spał. Chciał się przekonać, czy Kasia śpi; wstał, szedł po cichu do drzewa, patrzał chwilkę, w tem Kasia, podniosła główkę; Jaś jak nożem pchnięty w serce powlókł się na swe dawniejsze miejsce i położył się znowu.

I zasnął. We śnie ukazała mu się Kasia, która niby położyła swą głowę na jego rękach; i obudził się i otworzył oczy na najszczęśliwsze chwile swego żywota. Od szczęścia był przepełniony, na niczem mu nie zbywało i z tem szczęściem pogrążył się znowu we śnie. I jakoby widział na jej twarzy płomień i ogień, i wśród tego płomienia błyszczała dziewicza uroda, na której opisanie brakuje wyrazów. Sądził, że widzi to na jawie, i we śnie, i że to nie mógł być sen. I gdy się rano obudził, nie wiedział, czy duża jest różnica między rzeczywistością i snem; dzisiejsza noc była dla niego i rzeczywistością i snem. I obawiał się, życząc, aby była rzeczywistość, i lękał się aby nie była snem.

Kasia jeszcze się nie obudziła, jeszcze nie wstała. Szedł ją obudzić i szedł ku drzewu z przebudzonymi promieniami słonecznemi, które podobnież skierowały się do wypróchniałego dębu. A gdy z nimi przyszedł, z początku ukradkiem, później śmiało zajrzał... łóżko było próżne, Kasi na niem nie było....

Jasiowi zdawało się, jakoby dopiero teraz zabierał się do spoczynku, jakby się teraz położył. Zajrzał znowu do drzewa, oglądał się dokoła, brał się rękoma za głowę, przypominał lecz nie śnił. Czuwał. Przetrząsł mech i liście, jakby Kasia ukryła się pod nimi ale naprózno, jej tam nie było.

W duszy Jasia powstał zamęt wielki, zdawało mu się, jakoby całe niebo spadło mu pod nogi, jakoby gwiazdy z nieba spadły i jakoby miał już nastać sąd ostateczny. Zsiniał jak trup, jakby się chciał czemprędzej położyć do grobu, aby mógł także zmartwychwstać; oczy nabiegły krwią i błyszczały jak krwawe słońce.

I schwycił się za włosy i biegł po podgórzu w koło lasu i wołał:—Kasiu, Kasiu. Ale ona nie słyszała. Wbiegł do lasu, przebiegł w szerz i w poprzeg wołając: — Kasiu! Kasiu! Ale nigdzie nie usłyszał odpowiedzi.

Zdawało się, że już od kilku dni biega po lesie, że zestarzał się, że mowę stracił i zmęczył się tak że nie mógł kroku zrobić.

Czekał na Kasię, czekał, czy też nie wróci. O, gdyby się była nawet wróciła, już w jego mniemaniu, świat przestał być światem, niebo nie jest niebem, skoro raz z niego słońce zstąpiło, skoro już zginęło i Kasia nie powróciła.

Jaś czekał dzień i noc, czekał drugi dzień i noc. W nocy spał na tem łóżku z liści i mchu, z którego umknęła mu Kasia. Teraz czuł, że jest sam i wnętrze drzewa odbijało jego westchnienia.

I znów wyszedł jak myśliwy na łowy i wołał:—Kasiu, Kasiu! Lecz był łowcem nieszczęśliwym. I czuł, że jest na tem podgórzu od czegoś odcięty i że zlewa je krwią swoją.

Od Kasi był odcięty, ona go opuściła i teraz został sierotą.

IV.

Pierwszy raz był Jaś bez towarzystwa, bez słuchaczów, kiedy, siedząc jeszcze na podgórzu, wziął skrzypce do rąk i zagrał: „Osierociało dziecię.“

Właśnie był osieroconem dziecięciem. Kasia wtenczas, kiedy mu akompaniowała śpiewem przy „gloria,“ wybuchła płaczem, że jest sierotą, i Jaś ją przekonał że nie jest sierotą. Ojciec mu umarł, Kasię wypędzono z domu i gdy miała opuszczona błąkać się po świecie, on wziął ją za rękę i błądził z nią, pokazując drogę; nie była przeto sierotą. I gdy to wszystko wykonał, ona samowolnie go porzuciła w tej chwili, kiedy z nią chciał wkroczyć do raju. Podwoje raju zawarły się; czym był on dzisiaj?

Jasia myśli nie miały początku i końca. Były jako samotna, nie przejrzana pustynia. Nigdzie, gdzieby sobie spoczął; nic, na coby patrzał. Tak mało żądał dla siebie i gdy to stracił, zdawało mu się, że stracił cały świat. Sam ją wyhodował i gdy się przyglądał jak ona wyrwała się z jego serca aż z korzeniami, spostrzegł, że po tych korzeniach krew z serca ciecze.

Miał chwile, kiedy mniemał, że nie może przecież tak być, jak się stało; że go zmysły zwodzą i że Kasia powinna wrócić, i tylko co jej nie widać! I było mu, jakoby słyszał jej stąpanie, szelest jej szat; że za chwilę zobaczy jej rozpromienione oblicze, jej niebiańskie wejrzenie, usłyszy słowiczy głos. Obejrzał się w tę stronę, skąd niby pochodziło kroków stąpanie i szat szelest, i przekonawszy się, że to tylko czcze złudzenie, gniewał się sam na siebie.

Niechby go kto zapytał, jak długo siedzi już w tem drzewie, niezawodnie odrzekłby, że całą wieczność, i mówiłby prawdę; a niechby się znowu kto zapytał, jak długo chodził z Kasią po świecie, odpowiedziałby, że dwa, trzy dni, i również mówiłby prawdę.

Nakoniec Jaś podniósł się z ziemi i poszedł, nie wiedząc dokąd, ale w świat. Czasami grał, czasami nie grał, jak mu się zdarzyło. Zdawało mu się nie raz, że po to błąka się po świecie, aby Kasię znaleść; to znowu myślał, że gdyby ją spotkał, porzuciłby ją, aby jej więcej nie widział.

Najpierw przyszedł do miejscowości, w której kiedyś był z Kasią, sąsiedzi znajomi widząc go osamotnionym, pytali się gdzie podział Kasię. Tu niekiedy odpowiadał wyrazami, niekiedy śmiechem, niekiedy łzami, stosownie do tego jak był usposobiony.

Widocznem było, że każdy z tych sposobów odpowiedzi męczy go, czuł to i dla tego postanowił do znajomych wiosek nie chodzić, raczej gdzieś do nieznanych.

W wioskach oddalonych nikt nie pytał się o Kasię, ponieważ nikt jej nie znał. Lecz i to mu się nie podobało, gdyż zauważył, że teraz mniej o niej myśli. Długo już o nię sam siebie nie pytał.

Czasami nudziło go tułactwo po wioskach i granie ludziom; mordowało go to. Za to jak tylko gdzie znalazł młodzież wesołą, natychmiast z nią się zaprzyjaźniał i grał jej, dopóki chcieli go słuchać. Grał do tańca i grał tak, że jeżeliby kto życzył sobie ciągle być przy nim, nie wytrzymałby. Tutaj z początku był posępny, lecz im dalej radość dziarskiej młodzieży ciągnęła się, tym był weselszy. W miarę tego jak młodzież opadała z sił, on nabierał wesołości.

Gdyby podczas podobnych zabaw zobaczyli byli Jasia ludzie ze wsi, dla których stał się tak miłym, kiedy jeszcze im grywał z Kasią, z pewnością byliby wzruszali ramionami i matki byłyby zawołały: — Szkoda tego chłopca, taki młody i taki piękny; a był tak poważny! Tutaj ludzie zaczęli go mianować: „dziki Jaś.“

I zdarzało się, że z nikim nie rozmawiał, że wioski tylko obchodził i że najwyżej usiadł albo się położył przy gumnach pod wierzbami, jak to niekiedy robił z Kasią. I tu jak ten, co się modląc na różańcu bierze i spuszcza jednę paciorkę po drugiej, tak i Jaś, przypomniawszy Kasię, słowo za słowem powtarzał, co z nią kiedy mówił, i co czuł kiedyś o niej. Każde wspomnienie było jak jedna z tych różańcowych paciórek, a wszystkie te wspomnienia były jako jedna modlitwa. Niekiedy taka modlitwa uspakajała go; nasycała duchowy głód — lecz było to przelotne. I w krótce zdawało mu się, że albo jest przesycony, albo że nawet nie zaczął nasycać się.

Bywało także że nie wstępował ani do wiosek znanych ani do nieznanych, kręcił się w koło bez miary i celu, skoro zaś oprzytomniał, spostrzegł, że siedzi na podgórzu na skraju lasu pod wypróchniałym dębem. Dziwiło go to. Jak ciężki sen leżało w jego duszy to, co się wydarzyło na tem miejscu i co się tu skończyło. Zajrzał do drzewa, tam jeszcze było łóżko Kasi z liści i mchu, jakby je dziś dopiero zrobił. Rzucił się na to łóżko i obejmował je całe jakby w zaczarowanym zachwycie miłości. Potem położył się na nie i czuwał i śnił. Rozważał, jak stałym jest ten opadły liść i ten zwiędły mech, człowiekowi wstyd przy nich! Pozbawione ciepła i światła słonecznego, a jednak nie stają się niewiernemi swemu miejscu! Do wypróchniałego drzewa liści i mchu nakładł i znajduje je, kiedykolwiek tam zawita.

Nie przypuszczał, ażeby mógł tak być opuszczonym, jak był w rzeczywistości. Wstał, błąkał się po lesie i wołał: — Kasiu, Kasiu! Lecz nie było odpowiedzi, nie było ani śladu, ani cieniu. Powróciwszy z próżnej wycieczki, nie chciał już wejść ani do drzewa, ani na łóżko.

Rozpatrzywszy się w swym rodzinnym kra-

ju, zdawało mu się, że jest w swym własnym domu. Chciało mu się wstąpić do Swobodów, do stryjostwa, i przyrzec że będzie uprawiał pole, że zaniecha tych skrzypiec, którym nie wiedział, czy miał złorzeczyć czy błogosławić. I na prawdę pod wieczór przybliżył się do wioski, ku swemu rodzinnemu domowi i walczył z sobą, czy ma tam wejść. Przyszedł aż na podwórze, na próg sieni, obok której była kuchnia. W kuchni na trzonie płonął ogień, przy ognisku stała stryjenka, krzątając się przy wieczerzy. Ogień oświecał jej twarz, która miała kolor ognia, twarz była surowa. Na twarzy jednakże malowała się prawdziwość, dobroduszność, ludziom z taką twarzą można zaufać. Wszak mu nigdy nic nie obiecywała, przecie mu tylko groziła, i że groźbę wykonała, przeto właśnie była prawą. Kasia nigdy mu nie groziła, nigdy nie miała surowości w twarzy i w słowach — a o ile więcej zawiniła od staruchy.

Może byłby już wszedł, możeby wykonywał wszelkie roboty, i żadna nie byłaby dla niego za ciężka. Tymczasem stryjenka zdjęła z ogniska wieczerzę, poniosła ją do drugiej izby, nie powracała prędko i Jaś też odszedł. Zatrzymał się jeszcze przy oknie i przez okno patrzał do oświetlonej świetlicy. Na teraz miał przekonanie, że chałupa i pola są jego majątkiem, że Swobodom, stryjowi i ciotce, było na rękę, że się włóczył po świecie; że mógłby śmiało wejść do chaty i zażądać zwrotu swego mienia i rachunków, zapytać jak gospodarowali; że mógłby tu osiąść i przestać wędrować — i że mógłby zostać porządnym człowiekiem. Porządnym człowiekiem?

Co to jest być porządnym człowiekiem?—Jaś uśmiechnął się. Gdy uciekał z Kasią w świat, wtedy był porządnym człowiekiem. Kiedy ona go porzuciła, koniec porządkowi, nawet gdyby w majątku gospodarował. Więc Kasia stała się porządną a onby nie miał nim być?... Fe! To nie uchodzi, mówić tylko na wiatr, będę porządnym człowiekiem, lecz mieć w duszy wszystko w nieporządku. Chałupa i posiadłość porządku nie stwarza. Jednak jakoś go coś znowu ciągnęło do chałupy.

I Jaś opuścił podgórze, rwąc się i krocząc do świata jak ta kropla górskiego potoku, która ślepo rzuca się do rzeki, aby się dostać do morza.

I był to znowu dziki Jaś, który się bawił po całych nocach z wesołymi braciszkami, który ich kochał całem sercem, który ich rozweselał grą i słowem, i któremu nigdy nie chciało się, chociaż na chwilkę, być poważnym. Jaś znowu stał się ogniskiem młodzieży, tylko matki teraz nie wołały go do domów; byłyby raczej zamknęły przed nim drzwi, żeby nie wabił synów na pijaństwo i burdy.

Robił to tylko w tych wioskach, które nazwaliśmy nieznanymi, w których go nie znano wtedy, kiedy chodził i grywał z Kasią. Kiedy przyszedł do wiosek znajomych, bywał innym; był jakby skruszony, jakby czynił pokutę za niespane gdzieś noce; bywał tęsknym i smutnym. Wtedy zdawało mu się, że właśnie kroczy po stopach Kasi, a niekiedy zdawało mu się, że ją już dościga, że ją już widzi. Znajomi jego słuchacze dorozumiewali się z jego milczenia coś smutnego i mieli dla niego współczucie.

I tak lata mijały; niektóre dnie były tak długie jak morze, lecz lata pędziły z nimi jak ze wszystkiem: przemogły i nie było po nich ani śladu. Trzy lata upłynęły od czasu, kiedy Kasia znikła z łoża w wypróchniałym dębie.

Jaś przypadkiem przyszedł do miasta, w którem po raz pierwszy był z Kasią w teatrze, gdzie jego i ją wnieśli na scenę, aby zagrał. I gdy ów teatr zobaczył, obszedł go ze wszystkich stron i oglądał go, i czuł w duszy, że ani chwili nie zawahałby się strawić go płomieniem, tak go nienawidził; gdyby to kto inny uczynił, z roskoszą przyglądałby się płomiennym językom, niszczącym i trawiącym miejsce, z którego wziął początek groźny przewrót jego żywota. Jeszczeby tym płomieniom pomagał trawić i niszczyć, aby i śladu nie zostało po niem, jak nie zostało śladu po Kasi.

Ta nienawiść do budynku wszakże, nie przeszkadzała mu chodzić do teatru. Był już dojrzalszym, niż wówczas, kiedy tu był po raz pierwszy, i patrzył na rzeczy innem okiem. Bawiło go, co widział na scenie; bawiło go, że i inni ludzie mają różne dole; smuciło go, że poddają się swoim dolom i choć go to smuciło, nęciło go to i zdawało mu się, że tam widział część swojego żywota, i w tem znajdował niejaką ulgę.

Codziennie chodząc do teatru, zauważył, że potrzebują muzyka do orkiestry, zgłosił się ze swemi skrzypcami, i był przyjęty. Z orkiestry patrzał na teatr z pierwszej ręki, pił z niego jak z pełnego dzbana, a gdy zasłona spadła, grał. Był temu niekiedy rad i śmiał się z tego.

Podobało mu się, że miał rozrywkę i zajęcie. Lecz nie podobało mu się, gdy widział teatralne księżne, które dziś przysięgają miłość temu, jutro owemu, które dziś całują i ściskają tego a jutro owego. To tak mu było wstrętne, że byłby nie żałował słów, jeśliby im tylko mógł powiedzieć, jak o tem sądzi.

Czasami także na scenie widział ów las, który tu on i z Kasią widział — i który mu przypominał podgórze i las z wypróchniałym dębem na brzegu.

Czasami napadała go jakaś żądza, aby mógł grać, aby grał, aż ludzie płakali, ba! ryczeli, boć mówiły z jego strun i płacz i śmiech.

Jaś był tutaj w poważaniu i szacunku; wprowadzono go do mistrzów w grze, z którymi się uczył i grał po całych dniach. Nauczyli go już wielu rzeczy, które grał ku ich podziwieniu i pięknie i z uczuciem. Ale nadewszystko odznaczał się w pieśniach, których się nauczył na podgórzu. Wykonywał je tak po mistrzowsku, że zdawało się, jakoby całe podgórze z niego zionęło, jakby cały las grał, jakby mówiły kwiaty, jakby grała i ta rzeka, co huczała w dolinie. Tych pieśni nigdy nie było dosyć, żądano ich zawsze a zawsze. Owszem, kiedy zagrał swe „Osierociałe dziecię,“ publika była oczarowana. Tu zdawało się, że każdy człowiek był sierotą i że tutaj zgromadzili się do wspólnego grobu, aby się wypłakać.

Przychodziły też wiadomości do miasta o innych teatrach, o teatrach z głównego miasta, z Pragi. Dzienniki o tem pisały i w mieście o tem mówiono , w teatrze, wszędy o tem rozmawiali. Między różnemi wieściami nadeszło raz sprawozdanie z występu jakiejś śpiewaczki, która umiejętnością i głosem z pierwszej próby wyszła tak zwycięzko, iż dotąd nie było jej równej. Kiedy wystąpi, bukiety i wieńce ledwo jej nie zasypią, a kiedy skończy i idzie do domu, ludzie wyprzęgają z jej powozu konie i z pochodniami i okrzykami radosnymi odprowadzają ją do domu. Jest ona młoda i piękna. Była wędrowną śpiewaczką, ktoś nią się zaopiekował, dał jej doskonałą naukę i obecnie jest prawdziwem dziwowiskiem.

Gdy to i inne rzeczy Jaś usłyszał, jakby mu kto urok zadał, nie miał już spokojnej chwili. Porzucił orkiestrę, wziął skrzypce i jakby za nim i w koło niego wszystko gorzało, pędził do Pragi. W Pradze przekonał się, że co mówiono o niej, prawdą jest. Gdziekolwiek wstąpił, mówili o niej. W restauracyach, kawiarniach, oczekujący na teatr całe popołudnie aż do wieczora powtarzali, jak wiele dostała wieńców i kto jej jaki ofiarował.

Jaś wstrzymawszy oddech, przysłuchiwał się uważnie. Nigdzie nie potrzebował rozpoczynać rozmowy, w każdem miejscu słyszał o niej.

Czyż podobna, aby to miała być Kasia?...

d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXVII.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

8. Bladaczka.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

Zdyszane wchodzeniem na schody, raźnie zbliżają się dwie urodziwe, dwudziestoletnie dziewice, bez względu na odmienne położenie w społeczeństwie, ściśle ze sobą związane długoletnią przyjaźnią oraz wspólnem cierpieniem. Jedna z nich jest córką bogatych rodziców, jedynem ukochanem dziecięciem; druga, to biedne dziewczę, z pracy rąk utrzymujące swą matkę i siostry. Obie są nadobne i kształtne; lica ich, białe, nieco zarumienione, ożywia blask modrych oczu; blado-różowa barwa warg podnosi napozór jeszcze bardziej rumieniec policzków; przez arystokratycznie delikatną, białą skórę (szczególniej na skroniach i rękach), przeświecają fioletowo-czerwone żyłki. Nie tak prędko uspokaja się rozbujałe bicie ich serduszek oraz oddech przyspieszony. Lecz otóż zwolna odzyskują one spokojność, policzki ich bledną, oczy stają się matowemi, i w miejsce poprzedniego ożywienia, zjawia się zwiędnienie oraz osłabienie całego ciała; dziewczęta daleko mniej już podobają mi się teraz, aniżeli przed tem.

W obecnym wypadku, lekarz z pierwszego wejrzenia potrafi odgadnąć, jeśli nie miejsce, to przyczynę cierpienia. Jestto *niedokrwistość* czyli *bladaczka* (anaemia, chlorosis), dająca się poznać jeszcze dokładniej w bladości wewnętrznej powierzchni warg, powiek, dzią-

seł i języka; na chłodnej skórze nie występuje żadne zaczerwienienie w skutek lekkiego szczypania, puls jest słaby, z fioletowych zaś żył, pod woskowo świecącą lub zielonkowatą skórą zewnętrzną, łatwo można krew usunąć za pomocą tarcia. W żyłach szyi daje się słyszeć przy użyciu stetoskopu (rurki ułatwiającej osłuchiwanie), chrzęszczący lub świszczący szum (podobny do tego, jaki wydaje bąk podczas lotu).

Cóż spowodowało brak krwi u tych dziewcząt? Takie pytanie zadaje sobie natychmiast lekarz, rozbierając w swym umyśle wszelakie przyczyny niedokrwistości. Zapewne dziewczę w perkalowej sukience posiada zbyt mało dobrego pożywienia a natomiast obarczone jest nadmierną pracą i kłopotami; gdy tymczasem, druga pacyentka, w jedwabnej sukni, zmizerniała może w skutek trosk miłosnych. Lecz wstrzymajmy się ze swemi przypuszczeniami i raczej przystąpmy do badania.

— Czy pozwolą panie dowiedzieć się, co im najbardziej dolega?

— Ja, odrzeknie dziewczę w jedwabnej sukni, cierpię kurcze żołądkowe, napływ krwi do głowy i nadzwyczajne osłabienie. Nawet w tej chwili źle mi się zrobiło i doznałam zawrotu głowy; przyjaciołka zaś moja narzeka na migotanie w oczach i szum w uszach. O! tak, krew sprawia nam rzeczywiście wiele przykrości, i pomimo, że od czasu do czasu stawiamy bańki i już kilka razy puszczałyśmy krew, wcale nie jest nam lepiej; krwotoki nosowe oraz zawrót głowy zjawiają się po dawnemu.

— A więc panie sądzą, że temu wszystkiemu winien nadmiar krwi? Proszę, niechże panie zechcą spojrzeć w zwierciadło i wskażą mi, gdzie jest owa krew, co im tak dokucza? Panie jej nie widzą bynajmniej! bo też istotnie zarówno mało znajduje się krwi w głowach pań, jak i zewnątrz. Trzeba zaś paniom wiedzieć, że brak krwi (niedokrwistość) w mózgu, podobnie jak i jej nadmiar (pełnokrwistość), może wywołać prawie jednakowe zjawiska w głowie oraz nerwach (a mianowicie: ból głowy, niekiedy w samem czole, migrenę t. j. uparty ból głowy z jednej strony, zawrót głowy, skłonność do zemdlenia, omamy zmysłowe, zaćmienie i migotanie w oczach, nawet osłabienie wzroku, szum w uszach, zachcianki, gniewliwość i płaczliwość, napady kurczowe). Łatwo więc być może, iż panie nie są pełnokrwistemi, lecz niedokrwistemi, a w takim razie ubytek krwi zdolny jest tylko powiększyć ich cierpienia. Również złe skutki wynikną dla pań przy nadmiernem natężaniu swego ciała i użyciu środków pobudzających (a szczególniej zimnych kąpieli), gdyż w obydwóch tych wypadkach zużywa się dużo krwi. Tańce są dla pań bez wątpienia szkodliwe; nie mogą bowiem panie wytrzymywać takowych przez czas dłuższy, posiadając tak słabe i wiotkie mięśnie; nawet wywołują one pewno u pań mocne bóle mięśniowe, które mateczki pań poczytują za reumatyczne (gośćcowe).

Lecz dla zachowania porządku w naszem badaniu, bądźcie panie łaskawe odpowiedzieć na moje pytania. Czy, nim nastąpiło obecne cierpienie, były panie dawniej silniejszemi, mniej chudemi i blademi?

— O! zaiste. Bez porównania byłyśmy mocniejsze, pełniejsze i miałyśmy zdrowszą cerę twarzy.

— Jakże więc nastąpiła ta zmiana w ciele pań, szybko czy też powoli?

— Co się tyczy mojej pracowitej przyjaciołki, to całkiem stopniowo; odnośnie zaś do mnie, dość szybko, wkrótce po zjawieniu się kurczów żołądkowych.

— Co pani rozumie pod nazwą kurcze żołądkowe?

— Mocne, zazwyczaj ściągające bóle w dołku żołądkowym (czyli sercowym), które po większej części napadają mnie w kilka godzin po przyjęciu pokarmu (zwłaszcza twardego), oraz po użyciu za napój zimnej wody; czasami zaś połączone są z wymiotami wszystkiego, co zostało zjedzonem, a nawet były kilka razy z krwawemi wymiotami.

— A druga z pań, czy toż samo doświadcza?

— Niezupełnie. Bóle u niej zdarzają się częściej naczczo, wymioty rzadziej, a krwawe wymioty nie miały miejsca jeszcze ani razu.

— Pod innym zaś względem, czy cierpienia pań okazują się całkiem jednakowe?

— Tak, a mianowicie obydwie doznajemy ustawicznych bólów głowy, częstego i mocnego bicia serca, dychawicy (astmy) prawie przy każdym ruchu, zaburzenia w trawieniu, braku humoru, wielkiego osłabienia, i częstych dreszczów.

Jakież zmiany znajdujemy w ustroju naszych pacyentek? Wiedzieć o tem koniecznie powinien prawdziwie wykształcony i sumienny lekarz, dla rozpoznania choroby. Pomieniona zaś wiadomość daje się ociągnąć jedynie za pomocą badania fizycznego (przez wymacanie, opukiwanie, osłuchiwanie i t. d.). Otóż, badanie to przekonało, że pomimo dychawicy (astmy) oraz bicia serca, płuca i samo serce u naszych pacyentek są zupełnie zdrowe; przy naciskaniu powstawał ból szczególniej w dołku sercowym czyli żołądkowym, dotkliwy zresztą bardziej dla tej z pacyentek, która miała poprzednio kilka razy wymioty krwawe.

Bez względu jednak na podobieństwo doznawanych przez nasze pacyentki cierpień, objawy chorobowe byłyu nich nieco odmienne: u jednej, tak zwane kurcze żołądkowe zjawiły się w ślad za dość szybko powstałem wychudnieniem i bladością, niekiedy połączone z wymiotami krwawemi i następowały przeważnie po jedzeniu i zimnych napojach. U drugiej, kurcze rzeczone zjawiły się dopiero w skutek stopniowo zwiększającej się niedokrwistości, częściej miały miejsce naczczo, rzadziej wywoływały wymioty lub mdłości; obok tego, u tej ostatniej, żołądek okazuje się mniej czułym przy naciskaniu i nie doświadcza bólu. Sposób życia owych pacyentek, różni się też bardzo. Dziewczę ubogie, musi siedzieć i pracować do późnej nocy; żywi się ono powiększej części kartoflami, chlebem i kawą, nigdy prawie nie będąc wolne od uciemiężających kłopotów; natomiast, nie potrzebujące się o nie troszczyć dziewcze bogate, śpi długo i dobrze, i gdyby nie kurcze żołądkowe, mogłaby jeść dużo a przy tem najzdrowszych potraw. W obec takich okoliczności, nie trudno jest oznaczyć prawie na pewno, że dziewcze ubogie zapadło na niedokrwistość w skutek swego niedostatku, bogate zaś nawiedzone zostało tą chorobą w skutek zaburzeń w trawieniu, będących następstwem cierpienia żołądka. Dla zupełnego zatem wyleczenia pierwszej z owych pacyentek, okazuje się dostatecznem: odpowiedni, zwłaszcza mięsny pokarm (jako też mleko i jaja), sen i świeże powietrze; druga potrzebuje być wprzódy wyleczoną z cierpienia żołądka (z tak zwanego okrągłego wrzodu żołądka, który najczęściej bywa przyczyną kurczów żołądkowych) a to za pomocą prawidłowej dyety, t. j. ciepłego, rzadkiego (płynnego lub papkowatego), niedrażniącego lecz pożywnego pokarmu (szczególniej dobrego rosołu mięsnego i jaj na miękko).

W obydwóch razach, wszelkie lekarstwa (nawet żelazo) są zupełnie bezużyteczne, lecz przeciwnie koniecznem jest prawidłowe leczenie dyetetyczne.

Wyobraź sobie teraz czytelniku, przykre położenie lekarza: czyliż może on, bez uczucia głębokiego smutku, radzić biednej pracownicy, dla jej wyleczenia, to, na co ona nie jest w stanie się zdobyć! a mianowicie: mniej kłopotów, więcej snu i dobrego pożywienia. Jasno przedstawia się w umyśle lekarza posępna przyszłość rzeczonej pacyentki: padnie ona nareszcie ofiarą swej ciężkiej doli materyalnej, swej szlachetnej, lecz wyczerpującej siły i zdrowie, walki z niedostatkiem!

Gdybym posiadał majątek, natychmiast otworzyłbym zakład mleczny, dla leczenia w nim bezpłatnie ubogich cierpiących na niedokrwistość, gdyż mleko jest dla nich najważniejszym środkiem odzyskania zdrowia. Precz z kartoflami!

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

XXVI.

5 grudnia. Dzień gorący. Grudzień pod szesnastym stopniem jest najpiękniejszym miesiącem lata.

Jeżeli wiatr nie ochłodzi promieni słońca, możemy spodziewać się szalonych upałów.

Morze jest ciągle wzburzone. Pudło w $^3/_4$ zatopione rozbija bałwany jak skała. Rozpryśnięte bałwany zalewają nas pianą jak gęstym deszczem.

Z Chancellora widać ponad morzem: trzy maszty z gniazdami, mały maszt przedni na którym zawieszono łódkę, chcąc ją uchronić od porwania przez fale, dalej wystawkę i czub przedni połączone wązką ramką poręczy.

Pokład zupełnie zatopiony.

Komunikacya pomiędzy gniazdami stała się bardzo trudną. Majtkowie tylko pnąc się po linach, potrafią przechodzić z jednego na dru-

gie. Niżej pomiędzy masztami morze szumi jak na rafie i rozrywa powoli ściany okrętu, z których deski mają posłużyć na zbudowanie tratwy.

Dla podróżnych którzy schronili się na platformy, jest to okropne widowisko; słyszeć ten ocean ryczący, widzieć go huczącymo kilka stóp pod nogami.

Zresztą lepiej nie zastanawiać [się nad tem, bo otchłań tak ciągnie ku sobie, tak kusi....

Pomimo tego załoga, bez chwili odpoczynku pracuje nad budową drugiej tratwy. Użyto do tego wszystkich desek, masztów górnych i pod kierunkiem Kurtisa z całą skrupulatnością prowadzą robotę.

Chancellor trzyma się w zawieszeniu i nie powinien zatonąć; zresztą kapitan sądzi że tratwę należy zbudować trwale, o ile można jak najtrwalej.

Przeprawa będzie długa, bo najbliższy brzeg to jest Kajenna znajduje się o paręset mil od nas. Lepiej więc przebyć jeden dzień dłużej na masztach i zbudować statek dający zupełną pewność. Wszyscy zgodziliśmy się na to.

Majtkowie znów nabrali ducha i robota idzie ostro.

Jeden tylko majtek stary, mający lat sześćdziesiąt, z brodą i włosami osiwiałemi na pokładach, opiera się przeciw opuszczeniu Chancellora. Jest to Irlandczyk nazwskiem O' Ready.

Właśnie byłem na wystawce kiedy i on przyszedł.

— Proszę pana, odezwał się żując najspokojniej prymkę, koledzy są tego zdania żeby opuścić okręt, ja zaś wcale nie mam ochoty. Dziewięć razy rozbiłem się, to jest cztery razy na pełnem morzu i pięć razy nad brzegami...

Takie już moje rzemiosło.... Ja się znam na tem doskonale... Otóż, niech mnie Bóg ciężko skarze, zawsze widziałem że ci którzy szukali ocalenia na tratwach lub w łodziach marnie ginęli... Dopóki okręt płynie, nie powinno się z niego uciekać. Więcej nic nie mam do powiedzenia!

Wyrzekłszy te słowa stary Irlandczyk, któremu zapewne szło o to tylko, ażeby dla spokojności sumienia powiedział co myśli, znów zamilkł zapewne na bardzo długi czas, bo znają go z małomówności posuniętej do nieprawdopodobieństwa.

Około trzeciej po południu, zauważyłem że Kear i Huntley, żywo rozprawiają na przednim maszcie. Nafciarz silnie namawia na coś ex-kapitana, ten zaś zdaje się opierać i robić zarzuty, rozglądając się po niebie, po morzu, kiwając głową okazuje wątpliwość.

Nareszcie po godzinnej naradzie, Silas Huntley spuścił się po linach na pokład i wszedłszy pomiędzy majtków, zniknął mi z oczów.

Nie przywiązując do tego żadnej wagi, poszedłem na platformę, gdzie rozmawialiśmy przez kilka godzin z pp. Letourneur, Falstenem, panną Herbey.

Około piątej zjedliśmy razem obiad składający się z sucharów, mięsa suszonego, i po półszklanki wody na osobę.

Pani Kear, złamana cierpieniem nic nie jó. Panna Herbey chcąc jej sprawić jakąś ulgę zwilża od czasu do czasu jej pałające usta.

Nieszczęśliwa kobieta mocno cierpi i wątpię ażeby długo jeszcze wytrzymała. Mąż ani razu nie dowiadywał się o nią. Tymczasem około szóstej posądziłem go o to, że nareszcie uczciwość przemówiła w tem sercu samolubnem. Pan Kear zawołał na majtków stojących na przodzie okrętu, prosząc ażeby mu pomogli zejść z bocianiego gniazda. Czyżby chciał zobaczyć się z żoną będącą na tylnym maszcie?

Majtkowie najprzód udali że nie słyszą. P. Kear nalega silniej i obiecuje zapłacić im za udzieloną sobie pomoc.

Natychmiast dwóch majtków, Burke, Sandon, skoczyli na poręcz, dobiegli do tylnego masztu i wspięli się na gniazdo. Po przybyciu jednak na miejsce zaczęli się targować. Widocznie żądają zbyt wiele, a Kear zbyt mało daje.

Przez chwilę sądziłem że pozostawią go na maszcie. Zgodzili się jednak i p. Kear dobył z trzosa paczkę dollarów oddając jednemu z majtków, który uważnie przeliczył summę i jak sądzę, musiał schować do kieszeni najmniej sto dollarów.

Idzie oto żeby spuścić pana Kear z masztu naprzód okrętu. Burke i Sandon okręcili go powrozem, następnie przełożyli linę przez drąg i spuścili go na dół jak skrzynię, nie bez wielu figlów i szturchańców, które szczerze rozśmieszyły całą załogę.

Omyliłem się. Kear nie miał zupełnie zamiaru zobaczyć się z żoną będącą na platformie tylnej. Pozostał wraz z Silasem Huntly na przodzie okrętu. Wkrótce potem straciłem ich z oczów.

Noc zapadła, wiatr uspokoił się, ale morze jest ciągle wzburzone. Księżyc który wszedł około czwartej, niekiedy ukazuje się w przerwach pomiędzy chmurami, których czerwony odblask zwiastuje na jutro silny wiatr. Oby nieba dały, ażeby ten wiatr dął od północo-wschodu i popychał nas wciąż ku ziemi. Najmniejsza zmiana w kierunku byłaby dla nas szkodliwą, albowiem tratwa może płynąć tylko z wiatrem!

Robert Kurtis wszedł na platformę około ósmej. Widocznie stan nieba napełnia go niepokojem i chce odgadnąć co będzie jutro.

Po półgodzinnej obserwacyi, zanim zszedł na dół uścisnął mnie za rękę w milczeniu i powrócił na wystawkę.

Nadaremnie starałem się usnąć na wązkiej przestrzeni dla mnie zachowanej na platformie; złe przeczucia opanowały mną. Niepokoi mnie cisza w powietrzu, które jest zbyt spokojne. Niekiedy tylko powiew wiatru prześlizgnie się po linach wydobywając z nich metaliczne dźwięki. Oprócz tego czuć coś na morzu. Silnie rozkołysane buja się jak gdyby pod wrażeniem odległej burzy. Około północy obłoki na chwilę rozsunęły się przepuszczając blask księżyca, i bałwany odbiły żywe jego światło, jak gdyby z otchłani rozlewając blask po falach.

Podniosłem się rozglądając na około. Dziwna rzecz, na chwilę zdawało się ujrzałem ciemny punkcik kołyszący się w oddali na wodzie. Nie może to być skała, bo widocznie poddaje się działaniu fali. Cóżby to było takiego?

Potem księżyc znów zniknął, ciemność głęboka otoczyła nas i usnąłem przytulony do masztu.

XXVII.

6 grudnia. Przespałem kilka godzin. O czwartej zbudził mię świst wiatru i usłyszałem głos Roberta Kurtis, rozlegający się wśród szumu fal wstrząsających masztami. Powstałem, i silnie trzymając się za druty chcę poznać co się dzieje naokoło i podemną. Pośród ciemności słychać ryczące morze, wielkie szmaty białej piany przechodzą pomiędzy masztami silnie kołyszącemi się w skutek bujania się wody. Dwa czarne cienie t. j. Kurtis i bosman poruszają się na białawem tle morza. Głos ich tłumiony zaledwie dobiega mnie. W tej chwili jeden z majtków wysłany przez kapitana dla przymocowania liny przeszedł około mnie.

— Co się stało? zapytałem.

— Wiatr się wykręcił....

Następnie dodał kilka słów których nie dosłyszałem wyraźnie; zdaje się jednak że powiedział pod kątem prostym.

Pod kątem prostym, ależ w takim razie wiatr z północno-wschodniego zmienił się na południowo-zachodni! Przeczucia moje nie omyliły mnie! Wiatr nas popycha na pełne morze!

Wkrótce potem dzień się zrobił. Wiatr nie wykręcił się na odwrót, ale, co równie jest smutne dla nas dmie od południo-wschodu, oddalając nas, tym sposobem od ziemi. Oprócz tego na pokładzie jest już pięć stóp wody i poręcze zniknęły zupełnie. Podczas nocy okręt pogrążył się, tak że wzniesienie na przodzie i wystawka są zupełnie położone na rów ni z wodą bezustanku je zalewającą. Pod wiatrem Robert Kurtis i załoga pracują nad ukończeniem tratwy, co jednak zwolna postępuje z powodu gwałtowności fali; trzeba największą postępować ostrożnością, ażeby związanie nie rozpadło się, zanim go silnie zmocują. Panowie Letourneur stoją obok mnie i ojciec podtrzymuje syna chromiącego, przeciwko silnym kołysaniom.

— Ależ to jaskółcze gniazdo zaraz się złamie, zawołał pan Letourneur usłyszawszy trzeszczenie wązkiej platformy na której stojemy. Panna Herbey podniosła się na te słowa i wskazując panią Kear leżącą u jej nóg zapytała:

— Cóż mamy teraz robić?

— Trzeba zostać tu gdzie jesteśmy. Panno Herbey, dodał Andrzej Letourneur, to nasze najpewniejsze schronienie, nie lękaj się pani.

— Nie lękam się o siebie, odpowiedziała dziewczyna spokojnym głosem, ale o tych, którzy dbają o życie!

O ósmej bosman krzyknął na załogę:

— Hola tam na przodzie.

— Słucham pana, odrzekł któryś z majtków zdaje mi się że O'Reay.

— Czy macie łódkę?

— Nie mamy.

— A więc ją skradziono.

Rzeczywiście nie ma już łodki, która dotychczas wisiała przy przednim maszcie. Jednocześnie przekonano się, że zniknął pan Kear, Silas Huntly i trzech majtków, z których jeden Szkot a dwóch Anglików.

Teraz zrozumiałem co było przedmiotem

rozmowy pomiędzy panem Kear i Silasem. Obawiając się że Chancellor utonie zanim dokończą tratwę, postanowili uciec i za pomocą przekupstwa nakłonili trzech majtków do skradzenia łódki. Wiem także co znaczy punkt czarny widziany przezemnie w nocy. Nędznik opuścił żonę. Niegodny kapitan opuścił okręt! Ukradli nam łódkę może ostatnią nadzieję ratunku.

— Pięciu ocalonych, rzekł bosman.

— Pięciu nieboszczyków, odpowiedział stary Irlandczyk, którego zdanie jest zdaje się bardzo prawdopodobne ze względu na wzburzenie morza. Jest nas więc na okręcie 22 osób. Wielu z nas jeszcze ubędzie?

Załoga dowiedziawszy się o tej podłej zdradzie zarzuciła zbiegów gradem przekleństw. Gdyby przypadkiem wrócili na okręt, ciężko by odpokutowali za swoję zbrodnię. Zaleciłem ukryć przed panią Kear ucieczkę jej męża. Nieszczęśliwa kobieta trawiona ciągłą gorączką jest prawie bez zmysłów. Na całą jej chorobę nie mamy najmniejszego środka, bo w czasie zatonięcia okrętu nie mogliśmy ocalić pudła z lekarstwami. Cóż z resztą pomogą lekarstwa w warunkach ciągłej trwogi i niepokoju w jakim się znajduje.

XXVIII.

6 grudnia (dalszy ciąg). Chancellor nie utrzymuje już równowagi między dwiema warstwami wody. Prawdopodobnie pudło psuje się co raz więcej i okręt pogrąża się widocznie.

Na szczęście przed wieczorem skończą tratwę, na której się pomieścimy jeżeli tylko Kurtis nie będzie uważał za stosowne odłożyć na jutro odpłynięcia z okrętu. Wiązanie silnie zbudowano. Długie sztuki drzewa, silnie związano postronkami a że wzajemnie pomiędzy sobą się krzyżują, całość więc wznosi się na dwie stopy nad morzem. Co do pokładu, zbito go z desek pomostu zerwanego przez fale. Po południu przeniesiono na tratwę wszystko co dało się ocalić żywności i żaglów — instrumenta i narzędzia ciesielskie. Trzeba się śpieszyć albowiem w tej chwili już bocianie gniazdo jest wzniesione zaledwie o 10 stóp nad morze, z przedniego zaś masztu widać tylko sam wierzchołek z ukosa sterczący po nad fale. Jutro zapewne wybije ostatnia godzina Chancellora! Muszę teraz skreślić stan moralny w jakim się znajdujemy. Trudno wypowiedzieć co się dzieje ze mną. Zdaje mi się że jest to raczej najzupełniejsza obojętność niż rezygnacya. Pan Letourneur żyje tylko swoim synem, ten zaś myśli tylko o ojcu, Andrzej okazuje poddanie się odważne i chrześciańskie, z którem porównać tylko mogę poddanie się miss Herbey. Falsten jest zawsze Falsten i bezustannie rysuje w swoim karnecie, pani Kear umiera powoli pomimo starań panny Herbey i moich. Co do majtków z tych kilku zaledwie zachowało spokoj, reszta straciła zupełnie głowy. Niektórzy z nich są gotowi posunąć się do ostateczności. Trudno będzie wyżyć z niemi na wązkiej tratwie, jeżeli poddadzą się wpływowi Owena i Inyxtropa.

Porucznik Walter pomimo całych wysileń słabnie coraz więcej, tak że musiał zaprzestać pełnienia obowiązków służbowych. Za to Robert Kurtis i bosman to ludzie na twardo ukuci, że się posłużę tutaj wyrażeniem metalurgicznem, co ich doskonale maluje.

Około piątej wieczorem jedna z naszych to warzyszek przestała cierpieć. Pani Kear umarła, po bolesnem konaniu, może nawet nierozumiejąc swego położenia. Westchnęła kilka razy i wszystko się skończyło. Aż do ostatniej chwili panna Herbey okazywała dla niej poświęcenie prowadziwie wzruszające.

Noc przeszła spokojnie; nad ranem ująłem zimną rękę zmarłej, której członki już stężały. Ciało jej nie może dłużej zostać na bocianiem gnieździe. Panna Herbey i ja zawinęliśmy nieboszczkę w jej ubranie, potem zmówiono parę modlitw za duszę nieszczęśliwej kobiety i pierwsza ofiara naszej nędzy została rzuconą do morza. W tej chwili jeden z ludzi stojących w bliskości wyrzekł te okropne słowa: „Otóż trup którego będziemy żałować!“ Odwróciłem się, to Owen tak przemówił. Przez głowę moję przebiegła myśl że w samej rzeczy wkrótce zabraknie nam żywności.

XXIX.

7 grudnia. Okręt ciągle się zagłębia. Morze podmywa już bocianie gniazdo. Wystawka i przód okrętu skryły się pod falami, jeszcze tylko trzy maszty sterczą nad wodą. Tratwa już jest gotową i naładowaną wszystkiem co się ocaliło. Na przodzie zbudowano rusztowanie na którem ma stanąć maszt, który podtrzymywać będą liny przywiązane ze wszystkich stron do pokładu. Żagiel małego masztu przyczepiony do rejów, może nas popchnie ku lądowi. Kto wie zresztą czy to czego nie mógł dokonać Chancellor, słaba klejonka z desek może dokona. Nadzieja jest tak silnie wkorzenioną w serca ludzkie, że spodziewam się jeszcze.... Siódma rano... Mieliśmy już wsiadać, kiedy nagle okręt tak szybko zatonął, że cieśla i ludzie zajęci na tratwie musieli odciąć linę, ażeby nie być pogrążonemi w otchłań. Straszliwy niepokój nas ogarnął, albowiem właśnie w chwili kiedy okręt tonie, ostatnia deska naszego ratuuku oddala się od nas. Dwóch majtków i uczeń straciwszy zupełnie głowę rzucili się w morze, napróżno starając się walczyć z falami. Wkrótce ujrzeliśmy że nie dopłyną do tratwy i nie powrócą do okrętu, mając przeciwko sobie wiatr i fale. Robert Kurtis okręcił się sznurem i rzucił na ich ratunek. Próżne wysilenie! zanim zdołał do nich dopłynąć, trzej nieszczęśliwi których dotąd jeszcze widzę jak bronią się przeciwko zatonięciu, znikli wyciągając ku nam błagalne dłonie. Roberta Kurtis wyciągnięto zupełnie ogłuszonego przez uderzenia bałwanów. Daulas jednak i majtkowie przy pomocy długich sztuk drzewa któremi wiosłowali, starali się powrócić do okrętu. Po cało godzinnych trudach, po całej godzinie która nam się wiekiem wydała, po godzinie podczas której morze zaczęło zalewać platformy, tratwa oddalona zaledwie o dwa węzły przybiła do okrętu. Daulas rzucił linę bosmanowi i przywiązano ją do szczątków wielkiego masztu. Nie ma ani chwili do stracenia, albowiem gwałtowny wir formuje się nad zapadającym okrętem i kulki powietrza coraz więcej ukazują się na morzu.

— Wsiadać, wsiadać, zawołał Robert Kurtis. Andrzej najprzód dopomógł pannie Herbey, potem sam dostał się szczęśliwie na pokład wraz z ojcem. W kilka chwil wszyscyśmy wsiedli, wszyscy, oprócz kapitana Kurtisa i starego majtka O'Ready. Robert Kurtis stojąc na bocianiem gnieździe nie chce porzucić okrętu, dopóki ten nie zniknie mu z oczów, jest to jego obowiązek i jego prawo. On kocha tego Chancellora, dowodzi nim, przykro mu więc rozstać się z nim. Irlandczyk został na przednim gnieździe. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

XIII.

Pomiędzy 18,000 ludności zamieszkujące przedmieście Praga, znajduje się obecnie znaczna liczba obywateli i urzędników, należących do wykształconej warstwy społeczeństwa, którzy z powodu oddzielenia tego przedmieścia od Warszawy, Wisłą, i utrudnionej komunikacyi, nie mogąc korzystać z resurs i klubów warszawskich, pozbawieni są w zupełności życia towarzyskiego.

Celem przeto zadość uczynienia konieczne potrzebie jakiegoś ogniska, w którémby mieli możność przepędzania wspólnie chwil wolnych od codziennych zatrudnień, niektórzy z obywateli i mieszkańców Pragi powzięli zamiar założenia resursy familijnej, i w tym celu zanieśli do Władzy podanie o zezwolenie uorganizowania klubu familijnego.

Uznając pożytecznem otworzenie takiej instytucyi, oraz będąc bliżej poinformowanemi o warunkach na jakich ma się opierać projektowany klub, czujemy się w obowiązku zapoznać z niektóremi jego zasadami czytelników naszych, tem bardziej iż uważamy je w wielu punktach odmiennemi od zasad przyjętych i praktykowanych w resursach warszawskich.

Sama już nazwa klubu familijnego, wskazuje jasno, iż zbierać się tam mają nie sami mężczyzni, lecz całe rodziny; przyczem ustawa przyobiecuje znakomite urozmaicenie rozrywek, w progam których wchodzą: czytanie około 30-tu pism peryodycznych, muzykę, śpiewy, tańce, odczyty, przedstawienia amatorskie, gry komercyjne, gimnastykę, łyżwiarstwo i t. p.

Jakkolwiek według ustawy członkiem tego klubu może być każda osoba zajmująca godziwe stanowisko, bez różnicy stanu i zatrudnienia, zarówno mężczyzna jak kobieta, to jednakże pomiędzy następnemi paragrafami tej ustawy, spostrzegać się dają niejakie ostrożności względem niedopuszczenia do tego towarzystwa osób mogących naruszyć pożądaną harmonię, i tak: Oprócz 50-u członków założycieli, których lista przedstawiona została Władzy, przyjmowanie nowych członków odbywać się ma przez ballotowanie, w czem udział przyjmować ma najmniej 16 członków, a do przyjęcia kandydata potrzeba będzie $^3/_4$ przychylnych głosów; (w warszawskich dostatecz-

nem jest do przyjęcia na członka resursy $^2/_3$ dobrych głosów); siostry członków nieżonatych wprowadzane być mogą tylko przez żony członków, lub kobiety będące członkami klubu; członek wprowadzający do klubu gościa, odpowiedzialnym jest za jego sprawowanie się, pod rygorem utracenia prawa dalszego swych znajomych wprowadzania i t. d.

Następnie oddzielnym paragrafem wyraźnie zastrzeżonem jest: iżby nietylko wszystkie osoby uczęszczające do klubu używały zawsze zwykłych domowych ubiorów, lecz stroje balowe tak męzkie jak i damskie, nawet w razie zebrań tańcujących, stanowczo zostają wyłączone.

Lokal klubu otwartym będzie *codziennie* do godziny 12 w nocy.

Opłaty ustanowiono umiarkowane, a mianowicie: wpisowe rs. 3, składka zaś rs. 6 rocznie, przyczem członkowie żonaci lub familijni dopłacać będą po rs. 2 rocznie, bez względu na ilość osób rodzinę składających.

Zarząd klubu uformowanym być ma z dwóch wydziałów: gospodarczego i rewizyjnego, do których po ośmiu członków czynnych wybranych będzie na ogólnem zgromadzeniu.

Na wzmiankowanych powyżej zasadach uorganizowany na Pradze przybytek rodzinno-towarzyski, jest bez zaprzeczenia nie tylko potrzebnym i pożytecznym, ale nawet niezbędnym, i aby tylko należycie został pokierowanym, może odpowiedzieć w zupełności potrzebom towarzyskim każdego społeczeństwa, dla tego też oczekujemy z upragnieniem decyzyi Władzy zezwalającej na otworzenie tego klubu — i życzymy mu zawczasu świetnego i pomyślnego rozwoju.

* * *

Przedstawienia sceniczne w teatrzyku Towarzystwa Dobroczynności rozpoczęły się w sobotę dnia 18 marca.

Repertoar widowiska składały—scena liryczna *Przechodzień* Coppeégo, z muzyką Littégo— i dwie dotąd nieznane komedyjki.

Jak lat poprzednich tak i w bieżącym roku kierunek tu obejmował niespracowany b. dyrektor teatrów p. Jasiński, jemu też głównie zawdzięczała publiczność doskonałą grę amatorów.

Najprzód grano fraszkę sceniczną J. Ig. Kraszewskiego p. t. *Słomiana wdowa*, umyślnie na ten cel napisaną. Treść nie odznacza się nowością jednak budziła dość żywe zajęcie.

Młody Mieczysław Zegrzda (p. Gawroński) pokochał się w sasiądce pannie Adeli i zyskał jej wzajemność, a zmuszony wejść do wojska, przez długi czas nie dawał żadnej wieści o sobie, aż po 10-u dopiero latach wraca do zagrody rodzinnej i dowiaduje się że jego ukochana wyszedłszy za mąż została wdową. Z przyjacielem swym sędzią (p. Piramowicz) przybywa aby odżyć wspomnieniem błogich chwil i niepoznany przez ochmistrzynią swej Adeli (p. Minasowicz).

Następuje zręcznie przygotowane przez przyjaciela spotkanie z panią domu, a po licznych wymówkach dowiaduje się że jego ukochana nie chcąc złamać danego mu słowa i wyjść za mąż, została wdową ale słomianą.

Kończy się przeprosinami i zgodę na kobiercu. Wszyscy w ogóle amatorowie grali swe role prawie bez zarzutu.

Następnie p. Zahorowska odśpiewała umiejętnie i z uczuciem Noctnrn Coppeégo, w czem dopomógł jej p. Szulc, wyrobionym swym tenorem. Orkiestrą dzielnie dyrygował p. Gabryel Różniecki. Na zakończenie odegrano komedyjkę (podobno autorem jest p. Kajetan Kraszewski) *Cudowne leki*. Cudowne te leki stwarza jak zwykle miłość, wiodącą młodego Henryka syna przyjaciela doktora do Zosi córki jego z pierwszej żony.

Doktora grał wybornie p. Grzywiński udając pana w domu, chociaż w istocie trzymany jest w wielkiej ryzie przez drugą swą połowicę (pani Rutkowska). Dowiedziawszy się że ma przybyć ów Henryk, licząc że za niego wyda córeczkę niemłodą już i pełną pretensyi Horcię (p. Chybczyńska) po naradzie odprawia z kwitkiem p. Geldmach (p. Skulski), dosyć obojętnie przyjmującego odkosza. Tymczasem Henryk (p. Gawroński) udaje głuchego skutkiem wypadku z końmi i niepoznany przez doktora, na widok ukochanej Zosi (p. Rzecznik) odzyskuje słuch niby przez cudowne leki doktora; przyznaje się do podstępu i prosi o jej o rękę, na co też doktór przystaje z ochotą, ku wielkiemu niezadowoleniu macochy i Horci.

Niegrzesząca pomysłem treści ani doborowym wierszem komedyjka zabawiła publiczność zwłaszcza przy dobrej grze amatorów, i amatorek.

Rolę Henryka doskonale odegrał p. Gawroński okazujący wiele zdolności scenicznych; p. Skulski doskonale wywiązał się z roli Geldmacha utrzymując się w tonie komizmu nie przesadzonego

P. Minasowicz ze zrozumieniem swej roli grała żonę wodzącą za nos pana męża, jak również p. Chybczyńska godną swej mamy córeczkę, pełną pretensyi.

Rolę Zosi, bardzo wdzięcznie odegrała poraz pierwszy występująca panna Rzecznik. Słuchacze z zadowoleniem opuścili salkę teatrzyku, w którym wkrótce mają być grane nowe sztuczki również pod dyrekcyą p. Jasińskiego, chętnie i zawsze poświęcającego swą pracą i zdolności na otarcie łez niedoli.

* * *

Kpiny z cudzego nieszczęścia niesłychanie wstrętny noszą charakter. A jednak w ostatnim numerze, Kuryerek świąteczny, pozwolił ich sobie na rachunek jednego z przemysłowców, który w skutek niewypłacalności dłużników na rynkach Cesarstwa, chwilowo był zmuszonym zawiesić wypłaty.

Rzecz cała oddawna zresztą załatwiła się i to w jak najlepszy sposób, bo z wierzycieli miejscowych *każdy co do grosza* swoje już odebrał, zagraniczni zaś na spłatę ratami zgodzili się, polegając na rzetelności człowieka którego imie z szacunkiem jest wymawiane przez świat handlowy.

Kuryerek jednak rad że może pośmiać się z jakiegoś tam garbarza, pobaraszkował sobie z humorem, na który nie każdy nawet komornik potrafiłby się zdobyć.

* * *

Skargi na praktykujące się w Warszawie kradzieże coraz częściej się powtarzają, i dalej powtarzać będą, w obec łagodności z jaką panowie kupcy mają zwyczaj traktować złoczyńców.

W tych dniach do jednego z pierwszorzędnych jubilerów weszły dwie damy z jakimś jegomością. Trójka ta *dans un tenue irreprochable*, nosiła tak arystokratyczną na sobie *cachet*, że jubiler zachwycony perspektywą grubego zarobku, rozłożył przed nią wszystkie najpiękniejsze garnitury. Jako źle urodzony jednak kramarz, liczył sztuki (co za mauvais genre, fi!) i w chwili kiedy goście nic nie kupiwszy mieli się ku wyjściu, spostrzegł, że jedno pudełko... ulotniło się...

Nie wiele więc myśląc z właściwą tego rodzaju ludziom szybkością, stanął przed drzwiami sklepu i zagroził natychmiastowem aresztowaniem jeżeli pudełko się nie znajdzie. Po oburzeniu pełnem godności, nastąpiła rewizya, przy której, w rękawie jednej z dam, kosię sztowności znalazły. A wtedy spuszczając nagle z tonu, starsza z pań rzuciła się do nóg młodej żony jubilera ze łzami prosząc o nie kompromitowanie *zacnej* (sic) rodziny. Łzy te poskutkowały i *puszczono ptaszków bezkarnie*. W niedzielę słyszeliśmy to zajście opowiadane w kółku handlujących.

O dziwy! każdy z nich przyznał się, że inaczej nie postąpiłby nigdy.

— Ja panie, zawołał bławatnik, w przeszłym roku złapałem u siebie złodzieja i oddałem do sądu, to potem nic więcej tylko 15 razy musiałem stawać na Pawiaku. Na dorożki wydałem z 10 rubli, musiałem zaprzysięgać wartość rzeczy i odebrałem 22 kop.

— A u mnie, dodał papiernik, subiekt schwytał za rękę złodzieja i także 8 razy go potem powoływano do sądu, a jeszcze jak raz nie poszedł dla nawału roboty w sklepie, to się na niego bardzo pogniewał pan assesor.

Proszę, mi powiedzieć, kto winien że każdy pozbywa się złodzieja oddając karę wyrokom Opatrzności.

* * *

Na posiedzeniu Tow. wzajemnego kredytu wniosek o rozszerzenie kredytu rolnego upadł po ożywionej dyskussyi którą, zamknął głos W. Donimrskiego, przekonywający zebranych że rolnicy nasi potrzebują kredytu ale nie pośrednictwa, bo jak który ma gotowe zboże to potrafi sprzedać i bez towarzystwa. I wartoż to było z Torunia przyjeżdżać dla wypowiedzenia tego, o czem u nas i wróble na dachu wiedzą.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 (29) Марта 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.